DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok IX | Warszawa 15 marzec 1953 r | Nr 11 (381)

W NUMERZE m. in.:

T. MAZOWIECKI — Przełom rozpoczęty

J. ZABŁOCKI — Wielkie pytania katolicyzmu hiszpańskiego

G. KOZŁOWSKI — Aleksander Hercen — pisarz walki

Z. LICHNIAK — Wśród tłumaczeń

T. NUCKOWSKI — Trudny optymizm

Dominik HORODYŃSKI

STALIN — IMIĘ EPOKI

„Śmierć Józefa Stalina tak mną wstrząsnęła, że nie jestem w stanie znaleźć słów"... — pisze Maria Dąbrowska. „Żegnaj, Ojcze" — woła Szołochow i wraz z Dąbrowską i Szołochowem najwybitniejsi ludzie wszystkich narodów, myśliciele, mężowie stanu, naukowcy, pisarze, artyści łączą swe słowa żalu z głębokim bólem klasy robotniczej całego świata, z wielką żałobą wszystkich ludzi pracy, wszystkich ludzi prostych i „zwyczajnych". Jakże wielkim był ten człowiek, jak gigantyczne pozostawia dzieło, jeśli nad trumną jego w żałobie chylą głowy mieszkańcy pięciu kontynentów, ludzie różnych wierzeń i pojęć, ludzie różnych kultur, narodów i ras, laureaci nauki obok analfabetów! Ci wszyscy, dla których, niezależnie od różnic światopoglądowych, imię Stalina było i jest symbolem największych idei naszego czasu, idei pokoju, postępu i socjalizmu. Jaka siła sprawiła, że ludzie radzieccy i Partia Komunistyczna Związku Radzieckiego w ich wielkim nieszczęściu mieć mogą tę ogromną pociechę, jaką jest jedność uczuć przygniatającej większości mieszkańców ziemi i wszystkich najlepszych?

„Setkę
guberni
w mózgu swoim scalił,
dźwigał
z półtora
miliarda
ludzi.
Świat
w ciągu nocy
ważył na szali,
by go nad ranem zbudzić!
— Do wszystkich!
Do wszystkich!
Do wszystkich
frontów
od krwi pijanych
do wszystkich
przybitych trudem,
w niewolę
bogaczom oddanych. —
Władza radom!
Ziemia chłopom!
Pokój ludom!
Chleb głodnym!"

Tak pisał o Leninie Majakowski.

Od pięćdziesięciu przeszło lat uczeń i współbojownik Lenina — Józef Stalin poświęcił całe swe życie ludziom przybitym trudem, ginącym na cudzych, grabieżczych wojnach, bogaczom oddanym, poświęcił całe swe życie sprawie wyzwolenia człowieka. Dlatego dziś człowiek hołd jego trudowi oddaje.

WÓDZ MAS

W ROKU 1904 pisał młody Stalin w „Proletariatis Brdzoła" mówiąc o ucisku w carskiej Rosji: *„Jęczą Gruzini, Ormianie i inne narody, pozbawione prawa posiadania własnych szkół, pracy w instytucjach państwowych, zmuszone do ulegania tej haniebnej i uciskającej polityce r u s y f i k a c j i, którą z takim zapałem uprawia samowładztwo"*.

Już wówczas od kilku lat z barbarzyństwem tego samowładztwa Stalin prowadził walkę. Ale różne mogły być drogi walki, którą podejmowali młodzi ludzie ówczesnego pokolenia i wiele z tych dróg — jak dziś już wiemy — wiodło na manowce. Dążąc do wyzwolenia mas imperium rosyjskiego z niewoli caratu, dążąc do przebudowy społecznej Stalin znalazł drogę właściwą, bo od najmłodszych lat uzbrojony był w znajomość praw rządzących współczesnym życiem społecznym i ekonomicznym, bo wiedzę tych praw społecznych czerpał u Marksa i Engelsa, bo w strategii działania rewolucyjnego wierny był Leninowi, bo był organizatorem i wyrazicielem dążeń klasy robotniczej, tej jedynej siły, która jest zdolna rozwiązywać współczesne problemy społeczno-ekonomiczne i zbudować społeczeństwo bezklasowe. Od pięćdziesięciu lat w różny sposób i w różnej skali, ale we wszystkich krajach zwycięża klasa robotnicza i jej sprawa, od pięćdziesięciu lat z żelazną konsekwencją sprawdza się trafność diagnozy społecznej Marksa i Engelsa, od pięćdziesięciu lat niezmiennie i niezawodnie, wierny sprawie człowieka i wierny twórczemu nurtowi historii zwycięża Stalin.

Młody przywódca robotników Tyflisu niedługo staje się czołowym ideologiem partii bolszewików, współtwórcą wraz z Leninem największego wydarzenia: Rewolucji Październikowej, budowniczym i wodzem pierwszego państwa socjalistycznego, pogromcą faszyzmu i oswobodzicielem milionów ludzi skazanych na śmierć, symbolem gigantycznej walki o pokój. Gdy odszedł, płaczą matki i dzieci, które nie chcą wojny, przed jego portretami wyciętymi z gazet zapalają świece Murzyni w głębi wilgotnych puszcz Afryki i Murzyni w nędznych dzielnicach wielkich miast Stanów Zjednoczonych, Arabowie Maroka i wynędzniali Hindusi, metysi na plantacjach Brazylii i bezrobotni Japonii. W skupionym żalu stoją robotnicy zorganizowani i niezorganizowani krajów kapitalistycznych, staje milionowa rzesza budowniczych socjalizmu i przywódcy państw Obozu Pokoju. Bo dla wszystkich On był ostoją i nadzieją, bo wszyscy czuli, że ich tak różne, a w wielu wypadkach tak początkowe i nieśmiałe wysiłki, On w jakiś sposób organizuje, by je zużyć w swej wielkiej strategii obrony pokoju. Oto przywódca mas! Oto wódz, który zwyciężył!

Nigdy nie zrozumieją tego życia, tej wspaniałej drogi ludzie o umysłowości mieszczańskiej, ci ciekawscy żądni szczegółów biograficznych a niezdolni do widzenia człowieka w jego społecznym wyrazie. Dla nich życie Józefa Stalina zawsze pozostanie niepojętą, fantastyczną historią.

Sięgnijmy znowu do Majakowskiego:

„Zwyczajnym ludzkim krokiem
rękami robotników
i jego własną myślą
przebyta
ta droga".

— mówi on o Leninie i na pewno ma rację. Z tym tylko, że w wypadku Stalina — podobnie jak i Lenina — krok to był potężnego człowieka i myśl dalekosiężna.

Epoki wielkie, przełomowe rodzą ludzi na swoją miarę, wielkich. Nasza epoka w sensie rozmiarów i głębokości konfliktów i przeobrażeń społeczno-gospodarczych jest bez precedensu w dziejach. Uczestniczymy w przekraczaniu przez ludzkość wyższego progu, w naszych oczach rodzaj ludzki wstępuje na wyższy poziom. Gdy go osiągnie po raz pierwszy w dziejach wszyscy ludzie korzystać będą ze wspólnej pracy, z tego, co wspólna ziemia wszystkim dać może przy pełnym wykorzystaniu środków produkcji. Przekraczanie progu odbywa się w ciężkiej walce z siłami dnia wczorajszego, w walce nie tylko z potęgą aparatu administracyjnego państw kapitalistycznych, ale z potęgą bezwładu, z siłą ideologii kapitalistycznej i z ciężarem mieszczańskich nawyków i przyzwyczajeń myślowych będących udziałem ludzi wchodzących już w skład armi socjalizmu. Stalin wyjaśniał to zagadnienie w latach 1904-1905:

...„nasze życie społeczne jest przepojone ideami burżuazyjnymi i dlatego znacznie łatwiej rozpowszechniać ideologię burżuazyjną aniżeli socjalistyczną. Nie należy zapominać, że jednocześnie nie śpią też ideologowie burżuazyjni, że na swój sposób podszywają się pod socjalistów i nieustannie usiłują podporządkować klasę robotniczą burżuazyjnej ideologii"...

Stalin pisał te słowa w czasie gdy Edward VII nadawał ton Paryżowi, gdy trzej cesarze rządzili w najlepsze i nikt z „poważnych" ludzi i „poważnych" polityków nie traktował serio socjaldemokracji, a cóż dopiero jej bolszewickiego skrzydła. W „miarodajnych" sferach na ten temat nie wypadało rozmawiać.

Minęło lat pięćdziesiąt, Stalin, którego imię stanęło u progu nowej epoki, pchnął dzieje ludzkości milowymi krokami naprzód. Ale „jedynie wielka wojna ze wszystkimi jakie historia znała" — walka klasowa — rozwija się dalej ze zdwojoną zaciekłością. I choć — w ogromnej mierze dzięki dziełu Stalina — układ sił jest już inny i wynik ostateczny przesądzony, cytowana powyżej diagnoza jest nadal jeszcze aktualna w stosunku do poważnej części ludzkości.

Imieniem naszej epoki, epoki gigantycznej walki, w którą zaangażowane są przepotężne siły — stał się Stalin.

PRZYJACIEL POLSKI

MÓWIĄC o obietnicach carskich pod adresem Polaków, obietnicach rozdmuchiwanych u nas przez endecję, pisał Lenin w 1916 r. *„Mikołaj Krwawy, Chwostow, Czełnokow, Miłukow i ska są całkowicie za niepodległością Polski, z całej duszy pragnę jej o b e c n i e, kiedy to hasło w p r a k t y c e oznacza hasło z w y c i ę s t w a nad Niemcami, które zabrały Rosji Polskę... Teraz... gdy Polska została zabrana Rosji, są oni za „niezależnością" Polski (od Niemiec, to się skromnie przemilcza...)"*.

„Wolność Polski jest niemożliwa bez wolności Rosji" — pisał Lenin i stale w swych pracach ideologicznych podkreślał prawo Polski do samodzielnego, niepodległego bytu.

„Polska ma prawo do całkowitej niepodległości pod względem państwowo- międzynarodowym" — czytamy w orędziu Piotrogradzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. *„Wszystkie układy i akty... dotyczące rozbiorów Polski... niniejszym zostają zniesione na zawsze"* — brzmi uchwała rządu radzieckiego z dnia 29.VIII. 1918.

Taki był stosunek Lenina do wiekowego ciemiężenia Polski przez Rosję caratu. Genialne przewidywanie Lenina uderza szczególnie, gdy czytamy dziś tekst mówiący o stosunkach polsko-niemieckich: *„A jak dopomóc sprawie wyzwolenia Polski od Niemiec? Czyż nie powinniśmy w tym dopomóc? Oczywiście powinniśmy, ale tylko nie przez popieranie imperialistycznej wojny carskiej czy burżuazyjnej, czy nawet burżuazyjno-republikańskiej Rosji, lecz przez popieranie rewolucyjnego proletariatu Niemiec, przez popieranie tych elementów socjaldemokratycznej partii Niemiec, które walczą z kontrrewolucyjną partią robotniczą Südekumów, Kautskiego i ski"*.

W trzydzieści lat po napisaniu tych słów ziściły się one dosłownie. Dzięki zwycięstwu Stalina nad hitleryzmem, dzięki dojściu do władzy w Niemieckiej Republice Demokratycznej proletariatu niemieckiego, Polsce po raz pierwszy w jej dziejach nie grozi napaść z Zachodu, po raz pierwszy ze swym wielkim sąsiadem, narodem niemieckim, naród polski nawiązał więzy trwałej przyjaźni.

Istnieje szereg historycznych faktów świadczących, że w stosunku Józefa Stalina do narodu polskiego było wiele elementów specjalnego doceniania spraw polskich, będących czymś znacznie więcej aniżeli naturalną konsekwencją postawy ideologicznej rewolucjonisty walczącego o dobro wszystkich narodów.

„Jęczą pod jarzmem uciśnione w Rosji narody i wyznania, między innymi Polacy, których wypędza się z własnej ojczyzny, których najświętsze uczucia się znieważa"... — w ten sposób pisze Stalin o sytuacji Polski w 1904 r. Po raz pierwszy wówczas zajął się sprawą polską i od tej pory stale się nią żywo interesuje.

W czasie najazdu hitlerowskiego, gdy każdy dzień znaczony był tysiącami krwawych ofiar — pochód Armii Radzieckiej, przy boku której walczyło odradzające się Wojsko Polskie, dowodzonej przez Generalissimusa Józefa Stalina, niósł nam wyzwolenie. Nie szczędząc krwi Armia Radziecka wyzwoliła Polskę, uratowała życie niezliczonej liczbie Polaków, umożliwiła odbudowę nowej państwowości polskiej w nowych sprawiedliwych granicach nad Odrą i Nysą, wypełniając tym samym obietnicę zawartą w liście Stalina do Prezydium Związku Patriotów Polskich w ZSRR z dnia 17 czerwca 1943 r.: *„Możecie być pewni, że Związek Radziecki uczyni wszystko co jest w jego mocy, aby przyśpieszyć klęskę naszego wspólnego wroga — hitlerowskich Niemiec, umocnić przyjaźń polsko-radziecką i wszelkimi środkami przyczynić się do do odbudowania silnej i niepodległej Polski"*.

W Jałcie i Poczdamie Józef Stalin był jedynym spośród uczestników konferencji, który kategorycznie stawiał problem praw Polski do granicy na Odrze i Nysie. Wyłącznie dzięki poparciu Związku Radzieckiego zostały Polsce zwrócone jej Ziemie Zachodnie, a o fakcie tym pisze Stalin w artykule z dnia 14 marca 1946 r., demaskującym insynuacje Churchilla: *„Jak wiadomo, postanowienie o zachodnich granicach Polski zostało powzięte w Poczdamie na podstawie żądań Polski. Związek Radziecki niejednokrotnie oświadczał, że uważa żądania Polski za słuszne i sprawiedliwe. Jest rzeczą prawdopodobną, że pan Churchill nie jest zadowolony z tej decyzji"*.

Wszystkie późniejsze, osiągnięte po 1945 r. sukcesy Polski Ludowej w naszym budownictwie wewnętrznym i pokojowej polityce zagranicznej stały się możliwe dzięki oparciu się naszego narodu o mocny sojusz i pomoc Związku Radzieckiego, u którego kolebki stała myśl Stalina.

W szczególnym więc skupieniu żegna Józefa Stalina Polska Ludowa, jako wielkiego i wypróbowanego Przyjaciela naszego narodu.

Ale zmiana stosunków polsko-radzieckich, umożliwienie nowych stosunków polsko-niemieckich, przyczynienie się do historycznego zwrotu w dziejach naszego narodu, ułatwienie Polsce wejścia i kroczenia po drodze budownictwa socjalistycznego, a tym samym otworzenie wielkich perspektyw nowego życia dla milionowych mas ludu polskiego, to jednak tylko fragment — dla nas niezmiernie ważny, ale tylko fragment twórczej spuścizny, jaką zostawia po sobie Stalin.

GENIUSZ SOCJALIZMU. ORGANIZATOR, MYŚLICIEL I WOJSKOWY

WESPÓŁ z Leninem kierował Stalin dziesiątkami milionów ludzi, ogromną rzeką namiętności i mas historycznego Wielkiego Października. Gdy Lenina nie stało, na nim spoczął cały ciężar budowania pierwszego państwa socjalizmu. Ileż zagadnień! — A przede wszystkim to podstawowe pytanie, które ciągle jeszcze wracało w postaci różnych odchyleń od linii partii: czy można budować socjalizm w jednym państwie w warunkach otoczenia kapitalistycznego? Problem ten rozstrzygnął Lenin. Określił go również Stalin oświadczając w 1917 r.: *„Nie jest wykluczona możliwość, że właśnie Rosja będzie krajem, który utoruje drogę do socjalizmu... Należy odrzucić przestarzały pogląd, jakoby tylko Europa mogła nam wskazać drogę. Istnieje marksizm dogmatyczny i marksizm twórczy. Ja stoję na gruncie tego ostatniego"*. Decyzja była powzięta — ale trzeba było budować, trzeba było rozwiązy-

(Ciąg daszy na str. 2)

STALIN — IMIĘ EPOKI

wać w ogromnej skali zupełnie nowe zagadnienia.

Kwestia narodowa Jak wiadomo, Rosję carską — podobnie jak obecnie Zw Radziecki — zamieszkiwało kilkanaście narodowości. Oto jak charakteryzuje Stalin w 1904 r. politykę narodowościową caratu: (samowładztwo) *„Po zbójecku prześladuje kulturę narodową, język, obyczaje i instytucje „obcych" narodowości Rosji. Samowładztwo pozbawia je niezbędnych praw obywatelskich, gnębi je pod każdym względem, w sposób faryzeuszowski sieje między nimi nieufność i nienawiść, podjudza je do krwawych starć dowodząc tym, że jedynym celem samowładztwa rosyjskiego jest skłócenie zamieszkujących Rosję narodów, zastrzenie między nimi waśni narodowościowych, umocnienie przegródek narodowościowych, by przez to skuteczniej oddzielić od siebie proletariuszy.."*

W ciągu długich lat teoretycznej pracy i praktycznej działalności Stalin całkowicie rozwiązał problem narodowościowy ZSRR, jeden z najbardziej skomplikowanych problemów tego ogromnego państwa. Znikł wiekowy ucisk, wszystkie narody otrzymały realne warunki swobodnego rozwoju, a równocześnie krzepła jedność Związku Radzieckiego. Stopniowo znikło niebezpieczeństwo nacjonalizmu wielkorosyjskiego i przeciwstawne mu niebezpieczeństwo separatystycznych, lokalnych nacjonalizmów.

„Wielu nie wierzy, że mogą istnieć na równych prawach stosunki między małym a wielkim narodem. Lecz my, ludzie radzieccy, uważamy, że stosunki takie mogą i powinny istnieć. Ludzie radzieccy uważają, że każdy naród — wszystko jedno, wielki czy mały — ma swoje jakościowe cechy, swoją specyfikę, która należy tylko do niego i której nie mają inne narody. Cechy te stanowią ów wkład, który wnosi każdy naród do wspólnego skarbca kultury światowej i pomnaża go, wzbogaca go. W tym sensie wszystkie narody — i małe, i wielkie — są w jednakowej sytuacji i każdy naród równy jest znaczeniem któremukolwiek innemu narodowi" — w ten sposób charakteryzuje Stalin radziecką postawę w kwestii narodowej.

Przyznanie wszystkim narodom równych praw, a w pierwszym rzędzie prawa do niepodległości, obalenie przesądów o rzekomych różnicach wartości między poszczególnymi narodami, o rzekomych „wyższych" i „niższych" rasach, opracowanie konsekwentnej teorii w sprawie narodowej spełniło olbrzymią rolę nie tylko w ZSRR. Teoria stalinowska odegrała decydującą rolę w rozwoju ludów kolonialnych i zależnych. Dzisiejsza jedność narodowo-wyzwoleńczej walki tych ludów z walką o wyzwolenie społeczne, sojusz sił narodowo-wyzwoleńczych z obozem postępu i socjalizmu stał się możliwy dzięki teoretycznym rozwiązaniom Stalina. Dlatego lud Vietnamu i Burmy, ludy krajów arabskich i Murzyni Afryki walczą o wolność z imieniem Stalina na ustach.

Uprzemysłowienie kraju. Zbudowanie socjalizmu nie było możliwe w zacofanym cywilizacyjnie kraju bez radykalnej zmiany jego struktury gospodarczej. Z inicjatywy Stalina, na podstawie opracowanych przez niego planów, naród radziecki heroicznym wysiłkiem pracy, szeregiem stalinowskich pięciolatek przekształcił swój kraj w przodujące mocarstwo przemysłowe świata.

Kolektywizacja wsi. Nie można by zbudować socjalizmu, nie można by uprzemysłowić kraju bez znacznego podniesienia produkcji rolnej, bez wiączenia ogromnych mas chłopskich w socjalistyczny proces produkcyjny. Znów z inicjatywy Stalina, znów na podstawie opracowanych przez niego planów i pod jego kierownictwem przeprowadzona została rewolucja wiejska, rewolucja trudna i niejednokrotnie bolesna, ale w skutkach swych będąca przełomem równie doniosłym jak Rewolucja Październikowa.

Najazd hitlerowski przerwał brutalnie budownictwo ZSRR. Stalin stanął na czele obrony Państwa Socjalizmu, osobiście dowodził Armią Radziecką, opracował teorię prowadzenia wojny i określił daleko wybiegające w przód cele wojny z Niemcami. Geniusz wojskowy Stalina, który zabłysnął w czasie wojny z koalicją „14-tu" państw i armiami białogwardyjskimi, w całej pełni rozkwitł w historycznej obronie Moskwy i Stalingradu, w dziesiątkach sławnych, zwycięskich bitew, którymi Armia Radziecka znaczyła swój pochód do Berlina.

Gdy tylko umilkły działa, Związek Radziecki przystąpił do odbudowy zniszczeń wojennych i kontynuacji budownictwa socjalistycznego. Z inicjatywy Stalina i na podstawie jego planów przystąpiono do gigantycznego przeobrażania przyrody, do sadzenia szerokich pasów leśnych, do budowy kanałów i odwracania biegu rzek.

Na parę miesięcy przed śmiercią Stalin wskazał narodom radzieckim drogę wejścia do ustroju komunistycznego, myślą swą oświecił szerokie perspektywy przyszłości.

Ile trzeba było spokoju i hartu, by wygrać największą z wojen współczesnych!

Ile żelaznej woli, ile geniuszu organizacyjnego, jak twórczego i jasnego umysłu trzeba było, by zwycięsko budować nowy ustrój, by zwycięsko prowadzić swój kraj przez 30 lat.

Wszystko co Stalin budował dokonywało się w ciężkiej walce klasowej, w trudnej i krwawej walce z wrogami.

Obecna niezwyciężona potęga Związku Radzieckiego jest dziełem mas kierowanych przez długie lata przez Józefa Stalina. Wysoką drogą wiódł Stalin ludzi radzieckich, dalekie wskazywał im perspektywy. W „Drodze przez mękę" Aleksego Tołstoja jest taki fragment opisujący wrażenie przemówienia Lenina na meetingu w moskiewskiej fabryce:

„W głębokiej ciszy ktoś nagle głucho jęknął, czyjaś wymęczona dusza potknęła się nagle na tej lodowatej, stromiźnie, dokąd prowadził człowiek w szarej marynarce. Czoło jego zwisało nad słuchaczami, spod wypukłości patrzyły oczy — uparte, nieubłagane...

*

„— A więc, towarzysze, jeżeli to wszystko sobie uświadomimy, jeżeli to wszystko zrobimy, wówczas zwyciężymy na pewno.

I nagle uśmiech dobroduszny i jasny rozświetlił jego twarz. I dla wszystkich stało się oczywiste: swój, swój".

Trudną drogą prowadził Stalin. Lecz ludzie, którzy szli za nim w tym ciężkim marszu, wiedzieli, że innej drogi nie ma, wiedzieli, że wiedzie ich swój. Stalin nie lubił, gdy ktoś

Ciąg dalszy ze str. 1

mu przedstawiał patos jego dzieła. Oto zakończenie rozmowy, którą odbył ze Stalinem w 1933 r. amerykański przyjaciel ZSRR płk. Robins:

„Robins: Uważam, że nie ma nic wznioślejszego i wspanialszego niż uczestniczenie w tworzeniu nowego świata, uczestniczenie w tym, czym zajmujemy się obecnie. Uczestniczenie w tworzeniu i budowaniu nowego świata jest faktem, który ma ogromne znaczenie nie tylko teraz, ale również pod kątem widzenia tysiącleci.

Stalin: Jednakże sprawa ta nastręcza wielkie trudności. (Śmieje się)".

CHORĄŻY POKOJU

ZWYKLE wielcy dowódcy wojskowi, marszałkowie i generałowie lubią wojnę. Stalin, Generalissimus Związku Radzieckiego, pogromca Hitlera i największy strateg naszych czasów nienawidził wojny. Od początku swej działalności pogardzał wojną jako metodą przeprowadzania celów politycznych i widział w niej najgorsze zło. — Jeszcze w czasie wojny domowej i interwencji Stalin przedstawia w swych pismach perspektywy pokojowego budownictwa. Po zwycięstwie Rewolucji Związek Radziecki przez lat przeszło dwadzieścia prowadził konsekwentną politykę pokojową, czynił ciągłe wysiłki w kierunku powszechnego rozbrojenia i starał się nie dopuścić do wybuchu drugiej wojny światowej.

W okresie wojny z Hitlerem Stalin myślał o zabezpieczeniu przyszłego pokoju: *„Wygrać wojnę z Niemcami — znaczy to spełnić wielką misję dziejową. Ale wygranie wojny nie oznacza jeszcze zagwarantowania narodom trwałego pokoju i niezawodnego bezpieczeństwa w przyszłości. Zadanie polega nie tylko na tym, by wygrać wojnę, ale i na tym, by uniemożliwić nową agresję i nową wojnę, jeżeli nie na zawsze, to chociażby na dłuższy okres czasu".*

Po drugiej wojnie światowej, gdy imperializm amerykański coraz jawniej zaczął organizować nową agresję, pokojowa polityka i potęga Związku Radzieckiego stała się nadzieją i otuchą wszystkich ludzi pragnących pokoju. Światowy ruch obrońców pokoju jednoczący we wspólnym działaniu setki milionów ludzi zdecydowanych przeciwstawić się wojennym planom amerykańskim uznał od pierwszej chwili Józefa Stalina za swego Chorążego. Stalin uzbroił ruch obrońców pokoju w szereg cennych teoretycznych wskazań.

Historyczny wkład Stalina w dzieło pokoju światowego nie kończy się wraz z jego śmiercią. Związek Radziecki będzie wykonywał testament swego Wodza zgodnie z oświadczeniem G. M. Malenkowa złożonym nad trumną Stalina: *„Związek Radziecki niezmiennie występował i występuje w obronie pokoju świata, albowiem jego interesy są nierozłączne od sprawy pokoju na całym świecie. Związek Radziecki prowadził i prowadzi konsekwentną politykę utrzymania i utrwalenia pokoju, politykę walki przeciwko przygotowywaniu i rozpętywaniu nowej wojny, politykę współpracy międzynarodowej i rozwijania stosunków gospodarczych ze wszystkimi krajami, politykę opartą na tezie leninowsko-stalinowskiej o możliwości długotrwałego współistnienia i pokojowej rywalizacji dwóch różnych systemów — kapitalistycznego i socjalistycznego".*

ZŁUDZENIA WROGÓW

WODZOWIE imperializmu amerykańskiego, wrogowie socjalizmu wszystkich rang, nie szanując żałoby ogromnej większości ludzkości, w ordynarny sposób dają wyraz swym nadziejom, że wraz ze śmiercią Stalina ich wojenne plany zyskują szanse realizacji. Głoszą oni, że teraz zwiększają się możliwości cofnięcia koła historii. Obrońcy ginącego ustroju rachują, że odejście Stalina ułatwi im rozbijanie jedności obozu socjalizmu, że ułatwi im sianie zamętu i paniki.

Jak należy ocenić te złudzenia? Dwa nasuwają się słowa: chamstwo i głupota. Wielkim chamstwem jest nie umieć zamilczeć nad trumną wielkiego człowieka, nawet jeśli uważało się go za wroga. Wielką głupotą jest sądzić, że śmierć Stalina w jakikolwiek sposób ułatwi realizację planów imperialistycznych. Gdzie?

Czy Murzyn, który zdobył świadomość swej krzywdy, z powrotem łagodnie wejdzie w jarzmo niewolnika?

Czy Vietnamczyk rzuci broń, nastawi pierś na kule i plecy na razy panów zza morza?

Czy klasa robotnicza w krajach kapitalistycznych zaprzestanie walki?

Przeciwnie, wszyscy walczyć będą jeszcze zajadlej, bo wiedzą, że wróg rachuje na ich osłabienie.

Czy ludzie w krajach demokracji ludowej zaczną tęsknić do dziedziców i fabrykantów? Czy zaczną pomagać dywersantom i szpiegom amerykańskim?

Przeciwnie, jeszcze mocniej zewrą się w szeregi budowniczych socjalizmu, bo ludzie wiedzą, że wróg rachuje na ich rozprężenie i że wzmoże swą aktywność.

Czy zmieni się podstawowe prawo ekonomiczne współczesnego kapitalizmu? Czy zmieni się los kapitalizmu, towarzyszący mu chaos, niepewność i kryzysy?

Wrogowie socjalizmu dobrze wiedzą, że ani prawa ekonomiki ani jego los nie ulegną zmianie, dlatego działalność ich staje się coraz bardziej nerwowa.

Nie zmieni się jednak również stanowisko i siła państwa radzieckiego. Jasno mówi o tym G. M. Malenkow: *„Nasz święty obowiązek polega na tym, aby ze wszech miar umacniać potężne radzieckie siły zbrojne. Winniśmy utrzymywać je w stanie pogotowia bojowego, by odeprzeć druzgoczącym ciosem każdą napaść wroga".*

Nie ulega wątpliwości, że najbliższa przyszłość pokaże, jak złudne są nadzieje wrogów socjalizmu i pokoju. Każdy z nas jednak o tych nadziejach i związanej z nimi nowej fali aktywności powinien pamiętać.

SENS I CEL TEGO ŻYCIA

TYSIĄCE ludzi, którzy przeszli w hołdzie przez salę Kolumnową Domu Związków, odczytywało nad trumną Stalina na czerwonej szarfie wezwanie dobrze znane: *„Proletariusze wszystkich krajów łączcie się".* — Stalin przez całe swe życie był personifikacją tego wezwania, jego symbolem. W jego osobie przez dziesiątki lat łączyli się proletariusze wszystkich krajów, ich cierpienia, ich nadzieja, ich walka i wola.

Za cel i sens swego życia uważał Stalin służbę dla wyzwolenia klasy robotniczej i wszystkich uciśnionych. *„Gdyby każdy krok w mojej pracy dla wywyższenia klasy robotniczej i wzmocnienia państwa socjalistycznego tej klasy nie zmierzał do wzmocnienia i polepszenia sytuacji klasy robotniczej, uważałbym swoje życie za bezcelowe"* — powiedział o sobie Stalin w 1931 r., zaś dwa lata wcześniej dziękując za życzenia z okazji 50-tej rocznicy urodzin oświadczył: *„Możecie nie wątpić, towarzysze, że gotów jestem i nadal oddać sprawie klasy robotniczej, sprawie rewolucji proletariackiej i komunizmu światowego wszystkie swe siły, wszystkie swe zdolności, i jeśli trzeba będzie, całą swą krew, kroplę po kropli".* Proletariusze świata wiedzieli, że te słowa są prawdziwe.

Jeszcze kiedy indziej Stalin mówi o sobie po prostu: *„Co się tyczy mnie, to jestem tylko uczniem Lenina i celem moim jest — być jego godnym uczniem".*

Stalin stworzył swój własny język i styl literacki uderzająco jasny i prosty. Chyba tylko tak prostym językiem można trafnie rozstrzygać wielkie zagadnienia niesione przez naszą epokę. Język stalinowski w jego pierwszych pracach jest ten sam, co i w ostatnich. Jaką drogę przebył w tym samym czasie język literacki Europy, jak wówczas u zarania wieku był barokowy, nadęty i mętny. Wpływ stylu stalinowskiego na polityczny język współczesny — to osobny rozdział jego spuścizny.

Jakim było życie osobiste tego wielkiego człowieka? — Pisarz francuski Henri Barbusse przyjęty był kiedyś przez Stalina i taką zostawił nam relację: *„Oto w tym Kremlu, który wygląda jak wystawa cerkwi i pałaców, u stóp jednego z nich stoi mały trzypiętrowy domek. Ta miniaturowa budowla, której nie zauważylibyście nawet, gdyby wam jej nie wskazano, stanowiła część zabudowań pałacowych, którą zamieszkiwała niegdyś służba cara.*

Wchodzimy na piętro, w którego oknach powiewają białe płócienne zasłony. Te trzy okna — to okna mieszkania Stalina. W maleńkim przedpokoju rzuca się w oczy zwykły żołnierski płaszcz i wisząca obok czapka. Są tu cztery pokoje, skromnością swą przypominające drugorzędny przyzwoity hotel. Pokój jadalny jest półokrągły, spożywa się tu posiłki przyniesione z restauracji lub przygotowane przez służącą. W krajach kapitalistycznych nawet skromny urzędnik skrzywiłby się na te pokoje i nie zadowoliłby się tak skromnym posiłkiem. Mały chłopczyk bawi się w mieszkaniu. Starszy syn, Jasza, śpi w jadalni na kanapie, młodszy w maleńkiej alkowie.

Po obiedzie Stalin pali fajkę siedząc w fotelu przy oknie. Jest zawsze jednakowo ubrany...

Naprawdę jest zawsze skory do uśmiechu i wesołości. Mówi niewiele — On, który potrafi przez trzy godziny mówić na każdy temat, o który go zahaczycie, mówić jasno i zwięźle. Woli się śmiać — serdecznie i głośno — niż mówić".

Niewątpliwie podstawowym motorem działalności i siły Stalina była jego miłość do ludzi, jego głęboki humanizm. Czegokolwiek się tkniemy, czy walki z dyskryminacją narodową i rasową, czy sprawy równouprawnienia kobiet, czy zagadnienia stosunku do pracy, uczynienia ją twórczą i podnoszącą godność człowieka — wszędzie widzimy, że stalinowskie rozwiązanie wypływa z najgłębszej miłości człowieka, z troski o jego pełny rozwój i wyzwolenie.

„Celem produkcji socjalistycznej jest nie zysk, lecz człowiek z jego potrzebami, to jest zaspokojenie jego potrzeb materialnych i kulturalnych" — odpowiada Stalin twardo Jaroszence.

Mówiąc o warunkach przejścia do komunizmu Stalin stwierdza: *„Trzeba, po trzecie, osiągnąć taki poziom kulturalny społeczeństwa, który zapewniłby wszystkim członkom społeczeństwa wszechstronny rozwój ich zdolności fizycznych i umysłowych, ażeby członkowie społeczeństwa mieli możność uzyskania takiego wykształcenia, które mogłoby uczynić z nich aktywnych działaczy rozwoju społecznego, ażeby mieli możność swobodnego wyboru zawodu, a nie byli przykuci na całe życie, w skutek istniejącego podziału pracy, do jakiegoś jednego zawodu".*

Ileż troski o człowieka jest w każdym z tych zdań!

(Dokończenie na str. 4)

CZYTAJCIE
„SŁOWO POWSZECHNE"
PISMO CODZIENNE

Tadeusz MAZOWIECKI

Przełom rozpoczęty

PRZEZ długi czas duża część społeczeństwa polskiego traktowała dążenie do socjalistycznej przebudowy społeczno gospodarczej na wsi jako przejaw oderwanego od rzeczywistych potrzeb społecznych doktrynerstwa. Skąd się to nastawienie wzięło i co je jeszcze — choć oczywiście w stale zmniejszającym się zakresie — utrzymuje?

Powodów jest wiele i występują one na różnych płaszczyznach: opór klas wypieranych, niewiedza ekonomiczna powodująca jeszcze zapóźnienia w świadomości wielu ludzi najżywotniej zainteresowanych w konsekwentnej realizacji socjalizmu, czy wreszcie braki w pracy uświadamiającej, które sprawiają, że nieraz słowo wyjaśniające mija się z odbiorcą.

Przemawia Stanisława Łukomska ze spółdzielni produkcyjnej Nosibądy, pow. Szczecinek.

Osobne jednak miejsce w tym łańcuchu przyczyn zajmuje propaganda radiowa zagranicznych ośrodków kapitalistycznych. Przeciwnicy spółdzielczości produkcyjnej w kraju operują na ogół argumentami wycinkowymi, propaganda zaś „Wolnej Europy" czy „Głosu Ameryki" usiłuje dać wykończony, konsekwentny wykład doktryny antyspółdzielczej. Kierowany jest on nie tylko do tych, którzy są przeciwnikami spółdzielczości produkcyjnej, lecz także do wahających się, do tych, którzy jutro stać się mają spółdzielcami. Nie omija on przy tym i psychologii ludzi z miasta. Najważniejszy jest tu bowiem fakt, że wykład ten konstruowany jest tak, aby posiadał dla naiwnych wszelkie pozory troski o ludzi pracy w Polsce, a nawet o całą polską gospodarkę narodową.

Oś tego wykładu stanowi właśnie teza, że dążenie do rozwoju spółdzielczości produkcyjnej na wsi jest jedynie wyrazem doktrynerskiej polityki Rządu. Zdrowy rozsądek i założenia racjonalnej ekonomiki — są przeciw spółdzielczości produkcyjnej na wsi; wyłączną racją socjalistycznej przebudowy w Polsce jest doktrynerska postawa komunistów — oto kwintesencja tego rozumowania podawanego bynajmniej nie w celach „obiektywnych" i „apolitycznych", lecz po to, aby je przesączać na teren polskiej wsi, a w całym naszym społeczeństwie wywoływać — zresztą bez skutku — psychozę sprzeczności między interesem podstawowych mas narodu a polityką Rządu.

Całe to rozumowanie zmierza do podsuwania człowiekowi pracy w Polsce myśli, która zredagowana przez autorów pogadanek ekonomicznych „Głosu Ameryki" brzmiałaby mniej więcej tak: o ile w ogóle ustrój demokracji ludowej jest sam w sobie czymś bardzo złym, to z chwilą, gdy przystępuje się w nim do kolektywizacji rolnictwa jest on zły — do kwadratu.

W tym właśnie miejscu możemy najlepiej uchwycić cały mechanizm wrogiej interesom mas ludowych propagandy obcych ośrodków. Obróćmy się wstecz i spójrzmy na okres minionych ośmiu lat. Przyłóżmy w przytoczonym tu rozumowaniu zamiast słów: kolektywizacja rolnictwa, po kolei następujące określenia: reforma rolna, uspołecznienie przemysłu, kursy wstępne na wyższe uczelnie, socjalizacja handlu czy wiele, wiele innych pojęć oznaczających przebyte etapy w budownictwie Polski Ludowej. Jeślibyśmy w ten sposób odbyli w myśli drogę powrotną do roku 1944 — to chcąc być wierni zaleceniom kapitalistycznej propagandy musielibyśmy na przestrzeni tego czasu przekreślać kolejno każde osiągnięcie mas ludowych w Polsce. W gruncie rzeczy bowiem propaganda ta tylko wtórnie atakuje poszczególne procesy rozwojowe w krajach budujących socjalizm. Za każdym razem, mimo wszystkie pozory, gra toczy się o największą stawkę: o same podstawy nowego.

Poznały się na tym od dawna zdrowe masy narodu, a dziś dla każdego człowieka coraz bardziej jest jasne, że szukać natchnienia w tej propagandzie mogą tylko zdecydowani wrogowie Polski. Choć więc nie ma powodu lekceważyć niebezpieczeństw, które ona przedstawia, to jednak nie należy absolutnie przesadzać w ocenie jej oddziaływania. Jeśli poświęciliśmy jej tu tyle miejsca, to z uwagi na pewien szczególny wzgląd. Działanie tej propagandy odgrywa bowiem w jednym punkcie pewną rolę Gdyby użyć przenośni, można by powiedzieć, że jest to rola środka nasennego Chodzi o to, aby człowiek pracy, czy to na wsi, czy w mieście, który z takich czy innych powodów nie rozumie jeszcze konieczności wprowadzania zespołowej gospodarki na wsi, któremu sprawa spółdzielczości produkcyjnej wydaje się czymś nieopartym o realne potrzeby społeczne — nie dostrzegł momentu, kiedy następuje przesilenie w jego rozumowaniu. Momentu, który pozwoliłby mu zauważyć, że rozumowanie to w konsekwencji prowadzić go musi do uderzenia w swój własny byt, w to wszystko, co osiągnął, co wraz z Polską Ludową zdobył.

„Rewolucja społeczna, która zatrzymuje się w pół drogi, daje możność odradzania się i odbudowania sił odsuniętym od władzy klasom społecznym" — stwierdził Bolesław Bierut na I Krajowym Zjeździe Spółdzielczości Produkcyjnej. To lapidarne zdanie stanowi najlepszą odpowiedź dla przeciwników społeczno-gospodarczej przebudowy wsi. Przez fakt zrezygnowania z socjalistycznej przemiany form gospodarczych na wsi rewolucja społeczna dopuszczałaby powolne lecz stałe odrastanie starego porządku. Jednocześnie coraz bardziej potęgująca się dysproporcja między socjalistycznym przemysłem a drobnotowarowym i kapitalistycznym rolnictwem podcinałaby możliwości stałego rozwoju gospodarczego. Z tych właśnie powodów przytoczone tu stwierdzenie Bolesława Bieruta stanowi właściwą podstawę, na której oprzeć się musi w tej sprawie kształtowanie świadomości społecznej człowieka pracy w Polsce. Proces rozwoju spółdzielczości produkcyjnej jest bowiem procesem, koniecznym, lecz trudnym. Jego pomyślność zależy w olbrzymiej mierze od wytworzenia właściwej atmosfery dla zrozumienia przez ludzi pracy zarówno na wsi, jak i w mieście znaczenia gospodarki zespołowej, jej wartości oraz potrzeby jej wprowadzania.

Znajdujemy się w okresie, kiedy zdobycze społeczno- gospodarcze muszą być jednocześnie z całą siłą rozwijane i strzeżone. Trudne życie naszego kraju obfituje więc nie tylko w momenty pełne piękna i uzasadnionej satysfakcji, ale i w szare dni, w czasie których niejednemu jeszcze człowiekowi niedostatek zagląda w oczy. Są też braki, są niedociągnięcia i jest tysiąc najzupełniej nowych, wielkich i małych problemów, które stanęły przed nami i na nowo muszą być rozwiązywane. Spotykamy ludzi, którzy właśnie z tych wszystkich powodów skłonni są do łatwych uogólnień i pochopnych a fałszywych wniosków. Ale zapytajmy tych samych ludzi o osiągnięte zdobycze społeczne. To, co wczoraj jeszcze było nieoczekiwanie nowe, dziś jest najzupełniej normalne, tak że życie bez tego byłoby kalekie. I ten podejmowany w głębi serca prostego człowieka werdykt — jest najważniejszy. Wypływa stąd ważne zadanie: trzeba, aby ten osąd każdego człowieka pracy coraz bardziej świadomie obejmował nie tylko to, co już zostało zdobyte, ale i te— dziś zadania, a jutro — zdobycze społeczno-gospodarcze, ku którym po słusznej drodze przemian społecznych idziemy. Do takich spraw należy dziś przede wszystkim zagadnienie rozwoju spółdzielczości produkcyjnej na wsi. Wytworzenie właściwej atmosfery zrozumienia i świadomości społecznej wokół tej sprawy jest dziś zadaniem każdego *„kto pragnie utrwalić, wzmóc, rozszerzyć wielkie przeobrażenia społeczne i zdobycze Polski Ludowej"* (B. Bierut).

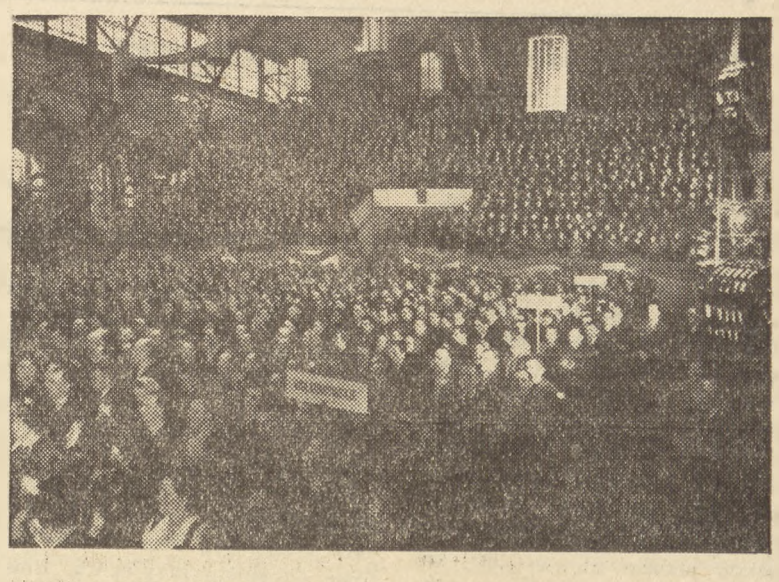

Zjazd Spółdzielczości Produkcyjnej — Sala obrad.

Rewolucja społeczna nie może zatrzymać się w połowie drogi. I nie zatrzymywała się w połowie drogi. Świadectwem tego był I Krajowy Zjazd Spółdzielczości Produkcyjnej.

Na dzień 31 grudnia 1949 r. zarejestrowano w całym kraju 243 spółdzielnie produkcyjne, które gospodarowały na 54 tys. 830 hektarach 21 luty 1953 r., to jest ostatni dzień przygotowań do Zjazdu, zamknięty został liczbą 5 613 spółdzielni produkcyjnych, które obejmują powierzchnię 1 116 tys. hektarów ziemi. Zestawienie tych cyfr wykazuje, że jesteśmy w okresie, kiedy rozpoczęty został przełom w skali krajowej. Rozwój spółdzielczości produkcyjnej jest procesem rosnącym i to już nie tylko potencjalnie, ale coraz bardziej faktycznie. Rozwój ten nie dotyczy też wyłącznie kategorii ilościowych. Niemal każdy mówca na Zjeździe ilustrował wzrost jakościowy swej spółdzielni. Podniesienie plonów, zwiększenie dniówki obrachunkowej, ponadplanowe dostawy, nowe inwestycje.

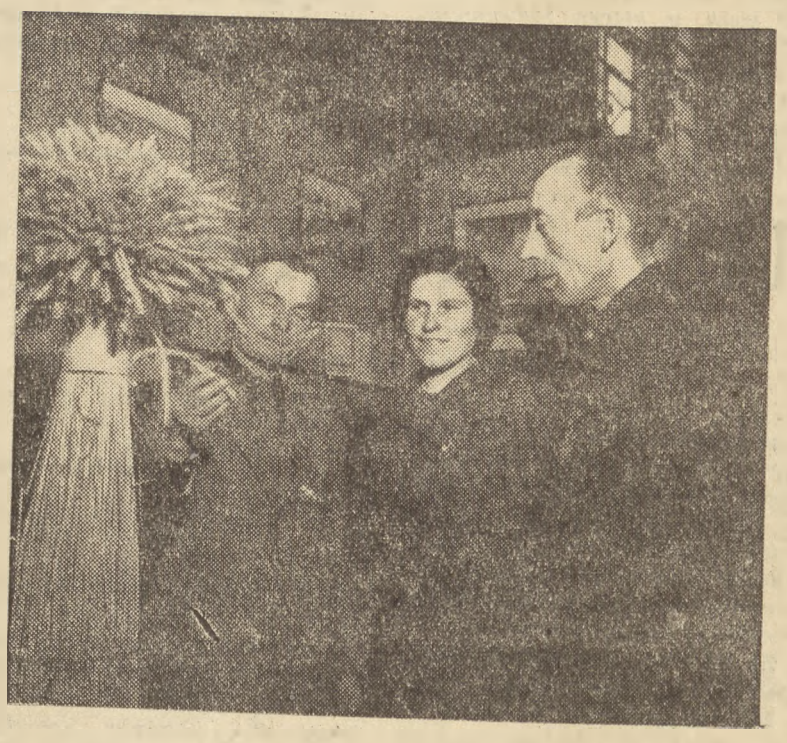

Spółdzielcy dzielą się swymi doświadczeniami. Na zdjęciu Stanisław Suworowski, Aniela Nazaruk i Stefan Pszczółkowski.

Wiceprezes Rady Ministrów Zenon Nowak w referacie wygłoszonym na Zjeździe dokonał między innymi następującego zestawienia: *„Mamy ponad 8 milionów hektarów gruntów ornych pod uprawami zbożowymi w gospodarstwach chłopskich w całym kraju. Jeślibyśmy na całej tej powierzchni osiągnęli urodzaje uzyskane przez spółdzielnie produkcyjne, otrzymalibyśmy dodatkowo ponad 2 miliony ton zboża"*. Zestawienie to wyraźnie ukazuje wyższość spółdzielczej formy gospodarowania, mimo że spółdzielnie nasze dalekie są jeszcze od wyzyskania swych pełnych możliwości. Jest to również wymowna ilustracja, dlaczego rewolucja społeczna nie może zatrzymać się w połowie drogi. Te 2 miliony ton zboża więcej są dziś nader potrzebne i potrzeba wielu innych rezultatów, które można osiągnąć jedynie w drodze zespołowej gospodarki. Potrzeba dla rozwoju samej wsi, dla rozwoju przemysłu, dla umocnienia obronności kraju, dla całej naszej gospodarki narodowej. Uczmy się spoglądać na to zagadnienie tak, jak ono w istocie rzeczy wygląda. Każdy kto ma odrobinę wyobraźni, niech ujrzy za tymi 2 milionami ton zboża sprawy sobie bliskie. Mała dziewczynka ze wsi pod Nowym Sączem, brnąca kilka kilometrów po śniegu do szkoły, niech umie wyczarować z tych 2 milionów ton zboża szkołę we własnej wsi — a będzie to takie czarodziejstwo, które się sprawdza. Sąsiadka, narzekająca na sprawy zaopatrzeniowe niech zechce pod tym kątem na nie spojrzeć, a znajomy, który od dwóch lat bezskutecznie czeka na przydział nowego mieszkania, niech wie, że te 2 miliony ton zboża więcej — to także więcej domów w Polsce.

Mocne siłą przekonywania słowa padały z trybuny w Hali Mirowskiej. Cztery tysiące uczestników Zjazdu, w tym również zaproszeni gospodarze indywidualni, przez dwa dni dokonywało bilansu początków spółdzielczości produkcyjnej w Polsce, wymieniało zdobyte doświadczenia i wytyczało kierunek dalszej pracy. Bogata problematyka Zjazdu i jego uchwały znane są z dokładnych sprawozdań zamieszczanych w prasie codziennej. Tu pragniemy zatrzymać się nad jednym. Prawdziwa bezpośredniość, jaka uderzała we wszystkich przemówieniach, wiele krytycznej i samokrytycznej troski o rozwój własnej spółdzielni, staranie o to, aby szanowane były zasady statutowe, a szczególnie zasada dobrowolności przy zakładaniu nowych spółdzielni, troska o pomoc i o stałe oddziaływanie na gospodarujących indywidualnie mało i średniorolnych chłopów, o podniesienie właściwego stosunku do własności społecznej i do pracy w ramach zespołu — wszystko to dawało wyraz coraz większemu poczuciu odpowiedzialności za własną spółdzielnię i za cały kraj, za jego losy i przyszłość. Kto wie, czy nie najważniejsze wrażenie, jakie odnieść można było z obrad zjazdowych — to było to, co w prostym zdaniu wyraziła Stanisława Łukomska ze spółdzielni produkcyjnej Nosibądy w pow. szczecineckim. *„To była droga nieznana i myśmy kołowali na tej drodze. Ale teraz jest nam lepiej. I chcemy, aby lepiej było wszystkim ludziom pracy w Polsce. Bo kto jest Polską? My wszyscy"*.

Oznacza to, że wraz z wzrostem spółdzielczego ziarna rośnie człowiek.

Tadeusz Mazowiecki

Zdjęcia C.A.F.

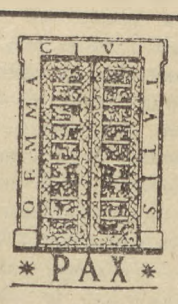

PROLEGOMENA
DO NOWEGO TESTAMENTU
Ks. Prof. E. Dąbrowski
Cena zł 20.—

Krystyna Wróblewska
OJCZE NASZ
Teka Drzeworytów
Cena zł 36.—

Paweł Jasienica
WISŁA POŻEGNA ZAŚCIANEK
Reportaże
Cena zł 20.—

Włodzimierz Wnuk
WIOSNA NAD MOTŁAWĄ
Reportaże
Cena zł 20.—

WRÓG POZOSTAŁ TEN SAM
Zbiór Artykułów
Cena zł 3.—

Wysyła Biuro sprzedaży „PAX", Mokotowska 43, Warszawa, za zaliczeniem lub po wpłacie na konto PKO nr I-8515 z dodaniem zł 3.— na koszt przesyłki.

Janusz ZABŁOCKI

Wielkie pytania

TRADYCJA siedmiuset lat wojen religijnych oraz „arcykatolickiej" monarchii, w której Kościół cieszył się pozycją religii panującej, wykształciła w umysłowości katolików hiszpańskich i w stylu ich życia religijnego pewne charakterystyczne cechy, które wpływać będą na ich postawę wobec wydarzeń lat trzydziestych. Kościół w Hiszpanii, który troskę o rozszerzanie swojej nauki pozostawia w wielkiej mierze świeckim ośrodkom państwowym, traci równocześnie swoją wewnętrzną siłę i żywotność. Nie potrzebuje wysiłku pogłębiania i wzbogacania wiary ani kultury religijnej, która grzęźnie w płyciźnie i obskurantyzmie. Duch „krucjaty przeciw niewiernym", który następnie zużytkował Franco, posiada w Hiszpanii długą i obfitą tradycję. W kraju tym inkwizycja została zniesiona formalnie dopiero w roku 1882, a jeszcze osiem lat przedtem spalono na stosie w Walencji osobnika oskarżonego o herezję. Politycznie Kościół uważa się z jednej strony za naturalną podporę tronu (hierarchia kościelna stanowiła zawsze oparcie dla karlizmu — hiszpańskiej odmiany legitymizmu). Z drugiej strony następuje swoiste utożsamienie fanatyzmu religijnego z nacjonalizmem: Hiszpania uchodzi w oczach wierzących za kraj, w którym nie może być miejsca dla ludzi innego wyznania niż katolickie.

Ścisłe powiązanie z monarchią stało się źródłem słabości katolicyzmu hiszpańskiego. Organizacja kościelna, będąc włączona do państwa feudalnego, stała się jego wspólnikiem w eksploatacji ludu hiszpańskiego i ulegała wewnętrznemu rozkładowi wraz z rozkładem państwa. Kościół staje się najpotężniejszym właścicielem ziemskim Hiszpanii: według oficjalnych danych przedstawionych konstytuancie Drugiej Republiki w 1931 r. w jego ręku znajdowało się 23 940 majątków ziemskich o łącznej wartości 54 milionów pesetów (według innych danych wartość ta sięgała 112 milionów!). Kapitały kościelne, jak również poszczególnych zakonów, kontrolują szereg banków, przedsiębiorstw żeglugi, kolei i kopalni. Kongregacje zakonne wkraczają też do przemysłu i handlu, gdzie korzystając z immunitetu podatkowego i pracując własną siłą roboczą stają się postrachem dla drobnych przedsiębiorstw kapitalistycznych, ściągając na siebie falę niechęci ze strony mieszczaństwa. Na dochód obliczone jest również nauczanie, w którym monopol przysługuje w monarchii czynnikom kościelnym. Czasem ta pogoń za zyskiem wkracza na teren ściśle pojętego życia religijnego i wtedy staje się przyczyną sytuacji wręcz gorszących. Jeden z takich obrazków opisuje katolicki pisarz hiszpański, Jose Bergamin, w liście do swego przyjaciela, Emanuela Mounier, redaktora „E prit":

„W kościele św. Ludwika czczony był obraz z wieku zdaje się XVII, znany z dawna jako „Chrystus wiary". A mówię z dawna, gdyż począwszy od lat dwudziestych czy trzydziestych, odkąd ja go pomiętam, zabobonni adoratorzy nazywali go „Chrystusem pieniędzy". Dlaczego? Bo pomodlenie się przed tym obrazem o pieniądze, naturalnie pod warunkiem wniesienia niewielkiej sumki jako zaliczki na wynikającą z tej transakcji prowizję, oznaczało według zdania pewnej kategorii wiernych (?) osiągnięcie z całą pewnością bogactwa. W związku z tym u drzwi owego kościoła sprzedawano losy loterii państwowej, które nabywcy starannie przedkładali u stóp Chrystusa, aby zapewnić sobie w ten sposób wygraną. Kobiety nawiedzały tenże kościół, aby pomodlić się w nim przed innym obrazem, znanym pod tytułem „Najświętszej Marii Panny Lekkiego Porodu i Dobrego Pokarmu", aby wymodlić sobie obie te sprawy przy zbliżającym się rozwiązaniu. Do tych modłów dodawało się oczywiście modły o pieniądze, za pośrednictwem albo bez pośrednictwa losu loteryjnego. Niezależnie zresztą od tego proboszcz (w którego mieszkaniu znaleziono potem sporo klejnotów pochodzących z kościoła) zorganizował na tyłach kościoła niewielkie przedsiębiorstwo wynajmu garaży. Mówi się również, że zapobiegliwy ksiądz proboszcz uprawiał też inny procederek, tym razem już w samym gmachu kościelnym, gdzie utrzymywał kiosk, w którym sprzedawano mleko. Nie wiem, czy nie łączyło się to może z kultem wspomnianego obrazu Najświętszej Marii Panny. Wszystko razem — doskonała organizacja wyciskania pieniędzy z ludzi, którzy proszą o coś Chrystusa".

Oto obrazek z życia katolickiego Hiszpanii, naszkicowany ręką samego Hiszpana. Na jego tle nie będą nas razić gorące i nabrzmiałe bólem słowa krytyki, jakie Bergamin ciska w twarz katolikom hiszpańskim:

„Pewien genialny pisarz francuski powiedział, że katolicyzm był we Francji najelegantszą formą obojętności religijnej. Trzeba byłoby powiedzieć, że dla olbrzymiej większości Hiszpanów katolicyzm jest najmniej elegancką formą obojętności religijnej, formą najbardziej ordynarną, kłamliwą i obłudną, jeżeli nie wręcz zabobonnie głupim, łobuzerskim parawanem dla podłych interesów — interesów polityków czy kupców, dla których religia miesza się z ich własną polityką czy handlem, wynaturza i deprawuje, deprawując całe otoczenie"[1]).

Współuczestnictwo duchowieństwa w gospodarczej eksploatacji ludu hiszpańskiego sprawia, że między Kościołem a ludem wyrasta mur niechęci. Swoją nadmierną zapobiegliwością w sprawach doczesnych przy równoczesnym spłyceniu życia duchowego księża hiszpańscy przyczyniają się do ugruntowania w masach przekonania, że Kościół jest niczym więcej jak tylko sprytnie zamaskowaną organizacją wyciskania pieniędzy z ludzkiej łatwowierności. Jeden z przywódców anarcho syndykalizmu hiszpańskiego, Angel Pestana, wyznaje w swojej autobiografii, że w młodości przeznaczono go na księdza. Jego ojciec, jeden z tak licznego w tym kraju legionu bezrolnych, niepiśmiennych chłopów, włóczących się za dorywczym zarobkiem po całym kraju, pouczał go: *„Ja pracuję 12 albo 14 godzin, by zarobić 14 reali, a ksiądz błogosławiąc i mówiąc kilka słów, których nikt nie rozumie, otrzymuje pięć duros. O to chodzi".*

Oto Kościół widziany oczami biedaka. Zapamiętajmy tę ocenę, bo pozwoli nam ona zrozumieć mechanizm dalszych wypadków, zwłaszcza genezę antyklerykalnych rozruchów majowych 1931 roku

[1]) „Cruz y Raya", sierpień 1935.

Śmiertelnym grzechem katolicyzmu hiszpańskiego — pisał Bergamin — jest *„pomieszanie tylu interesów praktycznych z duchowymi, które powinny być od nich tak odległe i tak im przeciwne. Inwazja propagandy politycznej (nazwijmy ją tak) i w dodatku inwazja interesów ekonomicznych w obręb duchowy religii katolickiej pomiędzy nami jest tak głęboka, że zatruła aż do korzeni sumienia, działając jak potężny środek paraliżujący, znieczulający poczucie moralne i religijne Hiszpanii"*[2]).

Temu grzechowi przeciwstawiła się najbardziej świadoma część katolików hiszpańskich, księży i świeckich. Temu celowi właśnie służyło wydawane przez Bergamina w latach 1933 — 1936 pismo „Cruz y Raya", skupiające grono młodych intelektualistów. Ich nadzieje związane z powstaniem Drugiej Republiki nie ziściły się jednak. Choroba Kościoła hiszpańskiego okazała się mocniejsza niż ich wysiłki, odżyła nowym paroksyzmem, który swoimi rozmiarami przerósł wszystko, co było dotąd — paroksyzmem frankistowskiej „krucjaty".

EWOLUCJA HISZPAŃSKIEJ CHADECJI

KIEDY ogłoszono w dniu 14 kwietnia 1931 roku powstanie Drugiej Republiki, większość katolików hiszpańskich zajęła w pierwszej fazie postawę wyczekującą, ale bez jawnej wrogości. Sprzyjały temu pierwsze ugodowe pociągnięcia rządu republikańskiego oraz wybranie prezydentem katolika Alcala Zamora. Nazajutrz po ogłoszeniu republiki w katolickim piśmie „El Debate" ukazał się artykuł redaktora tego pisma, Angela Herrery, czołowego ideologa kierunku „katolicko-społecznego". Artykuł ten wzywa katolików do uznania republiki „jako faktu".

„Od wczoraj istnieje druga republika hiszpańska. Republika jest tą formą rządu, który został faktem ustanowiony w naszym kraju. Dlatego też naszym obowiązkiem jest uznać go. Przed kilku miesiącami opublikowaliśmy artykuł, w którym udowodniliśmy, iż naszym obowiązkiem jest uległość wobec władz „faktycznych" i oparliśmy nasze twierdzenie na tezach nie podlegających wątpliwości nieśmiertelnego Leona XIII.

To poczucie obowiązku oraz zależności trwać będzie tak długo, póki wymagać tego będzie dobro ogólne".

Korzystając z wolności politycznej, jaką zapewniła im republika, katolicy hiszpańscy organizują się w szerokim, wielonurtowym ruchu politycznym. W pierwszej swojej fazie ten ruch katolicko-społeczny, podejmując zadanie przekonania mas katolickich do republiki oraz przeciwstawiając się monarchistom kierowanym przez Calvo Sotelo, spełnia rolę postępową. Ale w latach późniejszych rozpoczął się w nim proces, który można by określić mianem stopniowego przesuwania się ruchu na prawo i jego systematycznej faszyzacji.

Rozejście się z republiką, choćby w chwili jego decyzji nie było to uświadomione, nieodpartą siłą konieczności musi się zakończyć zejściem się z monarchią względnie z jej faszystowskim plenipotentem. Lata 1931 — 1934 wykazały, że ruch katolicko-społeczny nie jest w stanie utrzymać się na pozycjach neutralnych, ale nieuchronnie grawituje ku prawicy. Z chwilą gdy raz objawiły się w nim wahania wobec republiki, stał się on terenem skutecznej penetracji żywiołów reakcyjnych, które uzyskały na jego kurs polityczny decydujący wpływ.

Powstała w 1933 roku ze zjednoczenia szeregu organizacji C.E.D.A. wyrażała te właśnie narastające w ruchu katolicko-społecznym tendencje prawicowe. Jej przywódca Gil Robles, profesor prawa w Salamance i obszarnik, związany z grupami kapitału brytyjskiego (co mu zresztą później utrudniło odegranie poważniejszej roli w zorientowanym na Niemcy i Włochy puczu Franco) był człowiekiem prawicy. „Wulgarny polityker" — jak go określił konserwatywny katolik Cavanillas — realizował swoją linię polityczną w sposób kręty i dwulicowy. Deklamując publicznie o swojej wierności dla republiki, równocześnie porozumiewa się skrycie z przebywającym w Paryżu Alfonsem XIII. Występując do wyborów z demagogicznymi hasłami, równocześnie montuje koalicję wszystkich sił prawicy dla uchwycenia władzy w swoje ręce.

Uzyskanie przez C.E.D.A. i inne stronnictwa prawicowe większości w wyborach 1933 r. mogło rozwiać resztki zaufania do „postępowości" linii Roblesa. Mówią, że kiedy wniesiony został w nowych kortezach projekt ustawy o reformie rolnej, jeden z deputowanych tej „katolickiej" koalicji, obszarnik Lamanie de Clairac, oświadczył: *„Jeżeli ministrowie będą nadal cytować Encykliki papieskie, to my, obrońcy własności, będziemy zmuszeni ogłosić się schizmatykami".* Złowroga rola, jaką odegrało kierownictwo C.E.D.A. przy krwawym tłumieniu powstania ludowego w październiku 1934 r., do reszty rozproszyła złudzenia. Od tej chwili rozpocznie się odwrót od Roblesa najbardziej związanych z ludem żywiołów z jego ruchu.

Wszystkie te fakty ilustrują prawdziwość nieubłaganego prawa: oto w okresie rewolucji społecznej, gdy linie podziału klasowego rysują się ostro i wyraźnie, każde ugrupowanie polityczne, które w imię „katolickiej" i „uniwersalnej" ideologii będzie usiłowało uchylać się od dokonania wyraźnego wyboru między walczącymi klasami, musi — wcześniej czy później — nieodparta logiką wydarzeń stać się narzędziem w ręku klasy broniącej.

[2]) „Cruz y Raya", kwiecień 1935.

• Koniec cyklu „U źródeł hiszpańskiej tragedii". Poprzednia część patrz nr. 9 (379) i 10 (380) „Dziś i Jutro".

Stalin — imię epoki

Dokończenie ze str. 2

Miłość do człowieka i troska o ludzi najbardziej pognębionych dały Stalinowi siłę do bezwzględnej walki ze wszystkimi wrogami rewolucji, za którą czuł się odpowiedzialny, dały mu siłę wytrwania w najtrudniejszych momentach.

„Chwała tym co wśród ognia i mrozu
jak złom granitowy trwali.
jak wcielona wola i rozum,
jak Stalin".

Wierny celowi swego życia Stalin stał się symbolem siły i woli.

ZOBOWIĄZANIE

GDY odchodzi człowiek tej miary, mimo woli nasuwa się potrzeba porównania jego roli i dzieła z innymi wielkimi postaciami przeszłości. Stalin stoi obok Lenina i z żadnym z twórców współczesnej historii jego osobowości i rozmiarów jego dzieła nie sposób porównać. Jest tak dlatego, ponieważ jakość przewrotu, jego powszechność, światowy zasięg i głębia, jednym słowem wielkość przewrotu rozpoczynającego nową epokę jest wydarzeniem społecznym bez precedensu w dziejach. A jego przywódcy przerastać muszą inne wielkie postacie historii.

Gdy umarł Lenin, nad jego trumną Stalin składał ślubowanie: *„Odchodząc od nas, nakazał nam towarzysz Lenin wierność zasadom Międzynarodówki Komunistycznej. Przysięgamy ci, Towarzyszu Leninie, że nie będziemy szczędzili swego życia, by umacniać i rozszerzać związek mas pracujących całego świata — Międzynarodówkę Komunistyczną".*

Za Stalinem ślubowanie to powtarzały partie komunistyczne.

Dziś, po dwudziestu dziewięciu latach, nad trumną Stalina szacunek dla jego dzieła i wolę dalszej, niestrudzonej walki o pełne zwycięstwo nowego ustroju przyrzekają nie tylko partie komunistyczne i robotnicze wszystkich krajów. Niepomiernie w ciągu tych lat zmagań, w ciągu tych lat znaczonych myślą i trudem Stalina zwiększyły się i poszerzyły szeregi sojuszników klasy robotniczej, narosły nowe, potężne rezerwy wzmacniające i ułatwiające walkę klasy robotniczej z imperializmem. I dziś wraz z partią i klasą robotniczą przyrzekają swój udział w kontynuacji dzieła Stalina i te nowe rezerwy, wśród nich liczne środowiska ludzi, którzy z własnych pozycji światopoglądowych, pod kierownictwem i przykładem partii klasy robotniczej walczą o pokój, postęp, socjalizm.

„Stała się
wielkim
organizatorem-komunistą
nawet
i śmierć
Iljicza".

mówił o Leninie Majakowski. Jak aż po za grób wierny Leninowi był Stalin, czuł każdy z nas, który widział nasz kraj w dniach stalinowskiej żałoby. Gdy 9 marca ryk syren i żałobny głos dzwonów kościelnych wstrzymał pracę kraju, każdy Polak żegnając Stalina równocześnie zastanawiał się głęboko nad własnym stosunkiem do wielkiej walki, którą kierował Stalin, nad własnym stosunkiem do budownictwa socjalistycznego i do Kraju Rad. Na poważnych twarzach setek tysięcy ludzi, którzy w Warszawie w wietrzny i śnieżny dzień marcowy wielkim pochodem oddali ostatni hołd Stalinowi, po całej postawie tych ludzi, z których wielu po raz pierwszy w życiu zaśpiewało Międzynarodówkę, widać było wyraźnie, że w ciągu paru dni Warszawa i Polska cała zrobiła ogromny krok w kierunku dalszego pogłębienia woli walki o pokój, postęp i socjalizm, że potężnie zwarły się szeregi Frontu Narodowego.

I to jest największe uczczenie pamięci Stalina, który pozostawił nie tylko ogrom historycznego dzieła, lecz również kierownictwo zdolne wiedzą i doświadczeniem zapewnić stalinowskiemu dziełu jego zwycięski pochód.

Naszym polskim zobowiązaniem w stosunku do pamięci Stalina, naszą odpowiedzią na prowokacje i płonną radość wrogów musi być wzmocnienie więzów, łączących Polskę Ludową ze Związkiem Radzieckim. Zobowiązaniem wszystkich miłujących swą Ojczyznę Polaków, niezależnie od różnic światopoglądowych, musi być tym silniejsze skupienie się wokół Wielkiego Budowniczego Polski Bolesława Bieruta, tym pilniejsze wykonywanie zadań postawionych w programie Frontu Narodowego, tym mocniejsze zwarcie jego rosnących szeregów i stałe gotowość odparcia wszelkich zakusów wroga wewnętrznego i zewnętrznego.

Wyrazem postawy i pewności wszystkich patriotów polskich była depesza Bolesława Bieruta do Przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR — G. M. Malenkowa, stwierdzająca, że pokój, wolność i niepodległość narodów znajduje się w pewnych i mocnych rękach.

Dominik Horodyński

U ŹRÓDEŁ HISZPAŃSKIEJ TRAGEDII*)

katolicyzmu hiszpańskiego

swoich przywilejów. W okresie rewolucji klasie tej nie jest wygodnie ujawniać wobec mas egoistyczny charakter własnej polityki, bo to naraziłoby ją na niepopularność, natomiast chętnie kryje go pod parawanem ideologii „uniwersalnej". Katolicyzm staje się w ten sposób ideologicznym szyldem dla polityki reakcyjnej.

Ujawnienie się tych tendencji skłoniło najbardziej postępowe społecznie elementy spośród katolików do szukania własnej drogi, niezależnie od drogi, którą wyznaczało kierownictwo C.E.D.A. Jednym z przedstawicieli takich katolików o orientacji demokratycznej, którzy poszli inną drogą niż Robles i w decydującej chwili zachowali wierność republice, był Ossorio y Gallardo.

PRAWDA O „PALENIU KOŚCIOŁÓW"

NALEŻAŁOBY się zająć jeszcze jednym zagadnieniem, które propaganda prawicowa rozdmuchała do monstrualnych rozmiarów, czyniąc zeń uzasadnienie dla późniejszej „krucjaty" gen Franco. Chodzi mianowicie o poznanie prawdy dotyczącej rzekomego palenia kościołów przez republikanów.

W Hiszpanii — kraju, gdzie Kościół zrośnięty był z eksplcatatorską machiną państwa feudalnego — rozruchy na tle antyklerykalnym nie były czymś niezwykłym. Stanowiły one naturalny skutek stanu, w którym Kościół, rozdzielony od ludu, stał się współuczestnikiem jego ucisku. W ciągu XIX w. wielokrotnie do takich rozruchów antykościelnych dochodziło. W nowszych czasach większe rozruchy miały miejsce m. in. w r. 1909 w Barcelonie, gdzie jako główny podżegacz, który podburzył anarchistycznie nastrojonych lumpów katalońskich do wdarcia się do klasztorów i zgwałcenia zakonnic, zabłysnął późniejszy przywódca radykałów, Alejandro Lerroux. Warto dodać jako ciekawostkę, że ten wojujący antyklerykał po długim lawirowaniu między lewicą a prawicą i skompromitowaniu się udziałem w aferach łapówkowych, nieoczekiwanie wylądował ... w obozie gen. Franco, który — choć „prześladowcom religii" wydał wojnę — nie pogardził usługami sprawcy pogromu z 1909 roku.

W początkach II Republiki poważniejsze zamieszki skierowane przeciw Kościołowi miały miejsce w maju 1931 r. Jak rozpoczęły się te rozruchy? *„Dnia 10 maja — pisze* Gabriel de Coca — *nastąpiła inauguracja ośrodka monarchistycznego przy ul. Alcala, śpiewano hymn monarchistyczny i pobito na ulicy dwóch robotników, którzy odmówili wiwatowania na cześć króla. Lud wzburzony taką powolnością rządu, podpalił dnia następnego wszystkie klasztory, co skłoniło dopiero rząd do działania".*

Jest bardzo trudno ustalić właściwe podłoże, rozmiary i charakter tych zamieszek wobec braku dostatecznie pełnych i wiarygodnych źródeł. Mimo to da się ustalić kilka wniosków, które wydają się pewne.

Co było motywem tych godnych ubolewania wystąpień? Interpretowano je różnie. *„Słyszeliśmy* — pisze o nich Miguel de Unamuno — *jak jakiś nieszczęśnik mówił o nienawiści do Chrystusa, a nawet o formalnej nienawiści do Boga w ogóle. Idiotyzmy, którym hołdują ubogie wyobraźnie, diabolicznie chore na terror".* W rzeczywistości zasadniczym motywem zajść nie była wcale jakaś sataniczna „nienawiść do Chrystusa", czy „nienawiść do Boga", ale zgoła naturalny protest przeciw doczesnym nadużyciom popełnianym w Jego imię przez tych, którzy się mienią Jego wyznawcami i sługami. Dlatego byłoby niewątpliwym uproszczeniem i błędem czynić odpowiedzialnymi za same wypadki wyłącznie ich bezpośrednich sprawców. Przyczyny są głębsze i przerzucają ciężar odpowiedzialności w części na samych katolików. Jeżeli na gromadziło się tyle wrogości, to winni w decydującym stopniu są oni sami, to winne jest tragiczne powiązanie Kościoła z monarchią i klasami posiadającymi.

Nie brakowało przy tych „prześladowaniach religijnych" również faktów tajemniczych. Ogień nie ominął także opisywanego przez Bergamina kościoła św. Ludwika w Madrycie, z obrazem Chrystusa zwanym przez zabobonnych „Chrystusem pieniędzy". *„W owych dniach wydarzyły się w Madrycie niewielkie zamieszki, wywołane przez młodych faszystów z „Falangi". Kilkunastu młodzieniaszków znalazło się owego popołudnia w kościele św. Ludwika, który, jak zwykle o tej porze, był prawie zupełnie pusty. W parę godzin kościół spłonął... Dwie czy trzy kaplice spłonęły w tym czasie w Madrycie w ten sam sposób. Czyja ręka podłożyła ogień?"*

Postawiony w tym miejscu przez Bergamina znak zapytania jest bardzo wymowny. Jest w procedurze karnej stara zasada: *Is fecit cui prodest* — ten dokonał przestępstwa, w czyim ono było interesie. Podkładanie ognia pod klasztory i kaplice było rażąco sprzeczne z interesem politycznym Rządu Republiki. Tym też tłumaczy się w wielkiej mierze energia, z jaką wystąpił on przeciw sprawcom zamieszek. *„Wielu robotników* — pisze cytowany przez nas de Coca o sprawcach zajść majowych w Madrycie — *otrzymało surowe wyroki z oskarżenia o podpalenie klasztorów".* Jeżeli w czyimś interesie leżało palenie kościołów w pierwszych miesiącach Republiki, to tylko w interesie tych, którzy pragnęli ją skompromitować i obalić. Fakty te bowiem, odpowiednio spreparowane przez reakcyjną propagandę, stworzyły podłoże dla proklamowanej później przez Franco „świętej wojny w obronie wiary".

W sprawie „palenia kościołów" w Hiszpanii jedno wydaje się pewne: w tej mierze, w jakiej nie było ono dziełem prowokacji politycznej faszystów, było dziełem ślepego, żywiołowego wybuchu uczuć anarchistycznie nastrojonych elementów spośród ludu, który przywykł w Kościele widzieć sojusznika tronu i ucisku klasowego. Nie można natomiast obciążać odpowiedzialnością za te wypadki samej Republiki, ponieważ zaprzeczają temu fakty i ponieważ rozruchy te były rażąco sprzeczne z jej interesem. Dlatego wytaczanie przez Franco wobec niej oskarżeń o „prześladowania religijne" było zwykłym kłamstwem propagandy[3]). Rozruchy antykościelne zdarzały się przecież i za monarchii, a przecież nikomu nie przyszło do głowy ogłaszać przeciw niej „świętej wojny". Kłamstwu temu dał dobitną odpowiedź w swoim przemówieniu z 10.X 1936 r. katolik Ossorio y Gallardo:

„Często słyszycie to oskarżenie: wojna wybuchła z powodu prześladowania katolików, musieliśmy się bić w obronie wolności katolicyzmu. Odpowiadam: fałsz, fałsz, fałsz!

Wszystkie kościoły w Hiszpanii były otwarte. We wszystkich kościołach udzielano sakramentów...

Jeżeli nie jest prawdą, że tępiono wolność sumienia, to dlaczego wybuchła rebelia?

Odpowiedź jest prosta. Wielcy posiadacze hiszpańscy mają feudalne pojęcie o własności. Armia przesiąknięta kastowością, kastowością uprzywilejowaną. Wszystko to miało się skończyć z chwilą ogłoszenia Republiki, skądinąd całkowicie burżuazyjnej, powolnej w działaniu i wyrozumiałej dla interesów konserwatystów. Oto dlaczego wybuchła wojna".

„ŚWIĘTA KRUCJATA"

„Zasłony dymne, gęsta mgła przesłania od samego początku walkę w Hiszpanii, terror religijny rebeliantów — pisze Bergamin w „Detras de la cruz". *Dymy pochodni zapalonych specjalnie po to, aby zaciemniały wzrok zaniepokojonych widzów..."*

Hierarchia kościelna w Hiszpanii opowiedziała się po stronie puczu. Niezależnie od oświadczeń poszczególnych biskupów wydany został w roku 1937 na życzenie gen. Franco i podpisany przez cały niemal Episkopat hiszpański list zbiorowy, który miał na celu „poinformować biskupów całego świata o prawdzie hiszpańskiej". Na czele tej akcji stanęli: nadmiernie uległy Franco, prymas Hiszpanii, arcybiskup Toledo kardynał Goma oraz konserwatysta i antyrepublikanin, arcybiskup Sewilli kardynał Segura.

„Trudno sobie wyobrazić jak doszło do podobnie krwawych szaleństw. Nie ma takiej fantazji ludzkiej, która potrafiłaby zrozumieć krwawy ogrom podobnie zbrodniczej zawieruchy. Święta krucjata! Błogosławi się sprzęt wojenny chrzcząc go imionami Najświętszej Marii Panny (Paloma, Pilar, Remedios, Asuncion...) Na orężu, na wojennych czołgach wznosi się ołtarze dla Ofiary Mszy świętej. W samym środku ołtarza, a często nawet na miejscu krzyża, bez żadnego innego obrazu czy symbolu świętego, umieszcza się łuk ze strzałami (godło hiszpańskiej „Falangi" — przyp. J.Z.) *albo rózgi liktorskie. Znalazł się nawet biskup, który powiedział, że pociski artyleryjskie ryjąc w ziemi leje, zasiewają nasienie ewangeliczne („Niech będą błogosławione armaty, jeżeli w bruzdach, które otwierają, zakwitnie Ewangelia" — Diaz Gomara, biskup Kartageny). Policyjne zaswiadczenia bezpieczeństwa osobistego wydawane są pod warunkiem przystąpienia do komunii św.; tysiące niewierzących, ateistów popełnia codziennie największe świętokradztwo, przyjmując Eucharystię w ten sposób, narzucony pośrednio przez terroryzm klerykalny dla zagwarantowania bezpieczeństwa osobistego albo wynikających stąd korzyści materialnych... Straszliwy błąd wdarł się w tragiczną farsę wojny, powodując nowe uczucia bluźniercze. Powiew śmiertelnych kłamstw, tym bardziej, że czyniony świętokradczymi rękami pomazańców, okazał się bogaty w owoce przekleństwa, skandalu i okropności"[4]).*

Na dokonaną przez przywódców faszystowskich mistyfikację „krucjaty", na którą nie zareagowali w sposób właściwy katolicy hiszpańscy — zareagowała opinia katolicka poza Hiszpanią. Katolicki świat intelektualny Europy zachodniej ostro potępił nadużycia wiary, których dopuścił się Franco. We Francji nie zabrakło ani głosu Bernanosa, który — początkowo sympatyzujący z frankizmem — przeszedł pod wpływem zakłamania jego „krucjaty" za sadniczą ewolucję, zakończoną gwałtownym pamfletem przeciw „krzy-

[3]) — Zresztą ówczesna niezwykła „troska" frankizmu o szacunek dla miejsc kultu religijnego nie budzi dziś zaufania na tle dziejących się jeszcze niedawno w państwie Franco prześladowań protestantów, których prasa nazywa „sprzymierzeńcami liberałów i masonów". W ostatnim okresie znanych jest co najmniej 12 wypadków niszczenia kaplic protestanckich. Jedna z kaplic wysadzono w powietrze. Pastorzy protestanccy byli bestialsko pobici. Na te fakty, które wywołały oburzenie opinii na całym świecie, jakoś nie reagowały tak czułe na „prześladowania religijne" sumienia władców z Madrytu. Dopiero gdy okazało się, że może to wpłynąć na pogorszenie stosunków z protestanckimi USA, rząd szybko ukrócił te ekscesy, dając w ten sposób świadectwo, że gdyby chciał, mógłby od początku do nich nie dopuścić.

[4]) Jose Bergamin — „Detras de la cruz" („Za krzyżem").

(Dokończenie na str. 10)

Jolanta ZIELIŃSKA

Ku ludziom poprzez Boga

POWIEDZIANO kiedyś: dobrze jest mówić z ludźmi o Bogu — ale lepiej mówić z Bogiem o ludziach.

Nigdy z ludźmi nie dochodzimy do takiej absolutnej bezpośredniości wymiany wzajemnej tego, co ma się przekazać, jaka jest możliwa między człowiekiem a Bogiem. Bóg jest człowiekowi bliższy niż człowiek sam sobie. Więcej możemy przekazać drugiemu człowiekowi poprzez Boga, niż wprost od siebie na własną rękę. Bliżsi się stajemy drugiemu człowiekowi, gdy spojrzymy na niego poprzez Boga, niż kiedy widzimy go ze swojego własnego punktu widzenia. Połączenie zaś najgłębsze z drugą duszą następuje, jeżeli obie dosięgnęły Boga. Takie połączenie i taka miłość trwa poza śmierć i po śmierci odnajduje swoją pełnię.

Tak właśnie powstaje obcowanie ze świętymi, które można zacząć poznawać już na ziemi. Do świętości powołani są wszyscy, a zaczątek życia wiecznego musi rozwinąć się już tutaj. Nie należy marzyć o znajomości niezwykłych ludzi i oczekiwać od nich dowodów ich świętości, nie należy narzekać, że się nie mogło pomówić osobiście ze św. Teresą, nie trzeba łudzić się, że „gdybym ze świętymi przestawał w życiu, sam byłbym świętym". Któż wie, czy żyjąc w czasach Chrystusa nie zabilibyśmy Go. Istotne jest to, że oni zawsze są dla nas i czekają na nas — ale nie po to, by nawiązywać z nami kontakty konwencjonalne.

Gdy miłujemy Boga i poprzez Boga zaczyna nam się odkrywać coraz szerszy, coraz zawrotniejszy horyzont świata dusz ludzkich, dusz „bogów", jak wprost nazywa ludzi Ewangelia — zaczynamy poznawać i kochać coraz więcej i więcej ludzi. Zdaje się nam, że przebieramy w drogich kamieniach, albo że brodzimy przez ogrody, w których każdy kwiat kwitnie inaczej, albo że oglądamy ciągnące się bez końca galerie dzieł sztuki, z których każde odczuwamy jako niewyczerpane w swojej treści i pięknie. Zaczynamy rozumieć, czym może być takie „towarzystwo", które mieści się w pojęciu nieba. Imiona takie, jak Jana Ewangelisty, Marii Magdaleny, Bernarda z Clairvaux, ks. Jana Bosko, Anieli Salawy — przestają być dla nas czymś zewnętrznym, przestają być tylko nazwą, poza którą jest sama treść historyczna z zabarwieniem uczuciowym i garścią własnych refleksji albo przeważnie banalnym wyobrażeniem wzrokowym stereotypowej postaci. Te imiona stają się dla nas żywymi bytami, z którymi obcujemy tak bezpośrednio, jak z kimkolwiek z naszego otoczenia. Takiej samej żywej treści nabierają dla nas inne postacie, które żyją w Bogu, choćby nawet wcale przez Kościół oficjalnie nie kanonizowane: bohaterzy poświęcenia, uczciwości, cierpienia, pracy nad bliźnimi, sztuki, którzy wykuli swe życie w szpitalach, klasztorach, fabrykach, domach rodzinnych, pracowniach naukowych i artystycznych. Dzieje się tak, jakby płaskie malowane postacie nabrały nagle ostrej wypukłości, barw pulsujących życiem, ruchu — i wyszły z martwych ram na zawsze. Nagle odkrywamy, że zawiązany jest między nimi a nami osobisty stosunek, że porwani zostaliśmy ich wielkością, że miłość ta przylukwa nas do nich przemożną siłą, że bez nich ubożsi jesteśmy, i niepełni, i słabi. Uświadamiamy sobie nieobliczalne bogactwo całego duchowego stworzenia, widzimy, że jedna jedyna dusza jest dosłownie jak cały żyjący, pulsujący, zawrotny, rozpalony wszechświat.

Ten jeden element w życiu wewnętrznym — zaczątek obcowania ze świętymi — wystarcza, by zrozumieć, jakie znaczenie, ile powagi mieści w sobie pojęcie radości nieba. Dlatego mogli niektórzy ryzykować aż takie powiedzenie, że prawdziwe szczęście jest poważne jak smutek, albo że przeżywanie szczęścia wymaga mocy, heroizmu i potężnej wytrzymałości. Szczęście poznania i włączenia w społeczeństwo ludzi największych, którzy przeżyli i zdziałali, przecierpieli i przewalczyli najwięcej — nie jest dla natur małych, ckliwych, cukierkowatych. Wszystkie doznania, które zna nasza świadomość naturalna, przy tym, czego doznaje natura rozszerzona o sferę nadprzyrodzoności — są jak słabe wyobrażanie sobie przy samej rzeczywistości.

Ludzie muszą się oduczyć ciasnoty, ckliwości, sentymentalizmu, tchórzostwa, jeżeli chcą rosnąć i dorosnąć nieba, do którego weszli odważni i wytrwali. Inaczej i ziękną się drogi, która do niego prowadzi, i sama istota zjawiska wyda im się nie na miarę człowieka. Gdyby Bóg zechciał ciasnemu, nierozwiniętemu charakterowi dać doznanie nieba — dusza ta pękłaby jak balonik naładowany gazem przeznaczonym do wielkich balonów stratosferycznych. Człowek o niezahartowanej, słabej konsystencji, gdyby został zanurzony w gorącą wodę chrztu mistycznego, rozkleiłby się w swoich spojeniach metafizycznych. O takim napisał Merton, że jest za słaby na radość: radość zabiłaby go. Przeżywając piękno człowieka, piękno człowieka świętego, w miliardach wersji — musimy wpierw przyjąć w siebie coś z wielkości Boga.

Przy obcowaniu ze świętymi zaczynamy „eksperymentalnie rozumieć" co znaczą słowa, że mamy się stać Jedno, jak Syn jest Jedno z Ojcem. Przez wejście w Boga wchodzimy w centrum życia wszystkich, którzy są w Bogu. Odnajdujemy tych, których po ludzku nazywaliśmy „zmarłymi", nieobecnymi; ukrytymi. Poznajemy ich na równi z „żywymi". Nawiązujemy niewypowiedziany kontakt poprzez czas i przestrzeń — kontakt bez ludzkiej wymiany słów, ale będący jak patrzenie sobie w oczy, które jest wymowniejsze, głębsze od wszelkich słów nieporadnych, kontakt prosty jak podanie ręki Kontakt pozbawiony wszelkich niepowodzeń, niejasności, nieporozumień, niepewności. Kontakt pełen spokoju, nieznającego bezpieczeństwa, oddania, przelewający się po brzegi miłością, świeży i twórczy.

Poznajemy ludzi lepiej, wiążemy się z nimi silniej, coraz pełniej oddajemy im się w służbę i coraz więcej dla nich czynimy, jeżeli coraz więcej mówimy o nich — z Bogiem. Bo wtedy my sami trafiamy do nich poprzez obcowanie ze świętymi.

Jolanta Zielińska

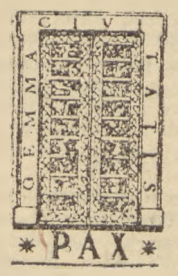

LISTY ŚW. PAWŁA APOSTOŁA
Przekład Ks. Prof. E. Dąbrowskiego
Cena zł 16.—

Graham Greene
BROŃ NA SPRZEDAŻ
Cena zł 22.—

G. K. Chesterton
PRZYGODY KS. BROWNA
Cena zł 18.—

Andrzej Łepkowski
LUDZIE ZNAD ZATOKI
Cena zł 15.—

Zygmunt Lichniak
POETA KONSEKWENCJI
rzecz o Jerzym Liebercie
Cena zł 12.—

Wysyła Biuro sprzedaży „PAX", Mokotowska 43, Warszawa, za zaliczeniem lub po wpłacie na konto PKO nr I-8515 z dodaniem zł 3.— na koszt przesyłki.

DZIENNIK ŻOŁNIERZY FRANCUSKICH

ŚWIAT znalazł się na kolejnym zakręcie historii. Stary, przeżyty ustrój oparty na wyzysku i niesprawiedliwości zbliża się nieuchronnie do swego końca. Na jego miejsce rodzi się nowy porządek socjalistyczny, w którym władza przechodzi w ręce klas dotychczas uciskanych, który dąży do zapewnienia wszystkim ludziom społecznych warunków pełnego rozwoju. W krajach obozu socjalistycznego wielkim i świadomym wysiłkiem całego społeczeństwa dokonują się ogromne przemiany polityczne, społeczne i gospodarcze, których celem jest stworzenie lepszego jutra dla wszystkich ludzi przez pokojową pracę nad rozwojem własnego kraju, a przez to i całego świata. Świadomość współudziału w budowaniu nowego, lepszego świata i świadomość współodpowiedzialności za jego realizację otwiera przed człowiekiem olbrzymie perspektywy rozwojowe jego pracy i wysiłkom nadaje głębsze społeczne znaczenie.

Tymczasem świat kapitalistyczny przeżywa dziś głęboki kryzys. Nie mogąc przeciwstawić socjalizmowi żadnej twórczej koncepcji jedyny swój ratunek widzi w wojnie. Stąd rozbudowywanie budżetów wojennych kosztem obniżenia stopy życiowej i zastraszająco wzmagającego się bezrobocia. Stąd narzucenie Europie przez Stany Zjednoczone polityki wojennej wbrew jej najoczywistszym interesom. Stąd postawienie na Niemcy zachodnie, faworyzowanie ich pod względem politycznym i gospodarczym, popieranie ich rewizjonistycznych dążeń i odradzanie neohitlerowskiego Wehrmachtu.

Przeciętny inteligent mieszczański, widząc cały nonsens tej sytuacji, w której żyje, stracił wiarę w dotychczasowe swoje ideały, ale nie wie czym by je zastąpić. Miłość ojczyzny, poszanowanie dla prawa, praca dla wspólnego dobra stają się dla niego albo skostniałymi formułkami, które nic nie znaczą, albo abstrakcyjnymi pojęciami, z których się również nie da wyprowadzić wytycznych dla konkretnego działania. Jego dumę narodową boli i oburza fakt podporządkowania się własnego rządu imperializmowi Stanów Zjednoczonych, które drogą szantażu politycznego i gospodarczego zmuszają go do prowadzenia polityki godzącej w interesy jego własnego kraju. Przeciętny inteligent mieszczański dostrzega groźbę wojny i boi się jej, ale nie wierzy w możliwość jej uniknięcia, bo propaganda wpoiła weń przekonanie, że wojna jest nieunikniona, ba, konieczna dla uratowania „wolności". Pesymizm, nihilizm i katastrofizm — te charakterystyczne cechy ginącej epoki — stanowią jego credo. I mimo że taki zagubiony człowiek boi się rewolucji, która zniosłaby mieszczańskie koleiny, którymi pełznie jego życie, właśnie on sam, przez swój brak wiary w jakiekolwiek wartości podkopuje również istnienie kapitalistycznego porządku, choć sobie z tego sprawy nie zdaje.

Ale obok tych zagubionych inteligentów istnieją zdrowe masy ludowe, które konsekwentnie walczą o zniesienie ucisku i wyzysku, o położenie kresu wojnom i mają niezłomną wolę poprowadzenia ludzkości nową drogą.

Poniższy fragment dziennika napisanego przez członków armii francuskiej, m. in. Georges Sufferta, drukowany w katolickim miesięczniku francuskim „Esprit" (nr. 6, czerwiec 1952), przetłumaczony został przez niedawno zmarłego naszego kolegę, śp. Jerzego Andrzeja Górskiego.

Są to typowe rozważania zagubionego inteligenta mieszczańskiego. Dla naszego bohatera „historia posuwa się szlakiem, który wskazuje jej konieczności gospodarcze połączone z głupotą ludzką". Zarzuca on swoim przełożonym „brak powiązania między stwierdzonymi faktami a ich konsekwencjami politycznymi", sam zaś popełnia podobny błąd w swoim rozumowaniu — widzi konsekwencje polityczne, lecz nie widzi ich źródła. Rodzący się stąd brak perspektywy ideologicznej uniemożliwia mu przeciwstawianie jakiejkolwiek pozytywnej, twórczej koncepcji złu i nonsensowi sytuacji, które dostrzega. Krytykuje armię francuską i panujące w niej stosunki, nie rozumie jednak, że głupota i bezideowość oficerów i aspirantów to — tylko skutki i objawy. Przyczyna tego stanu rzeczy leży znacznie głębiej. I żeby tę przyczynę usunąć, nie wystarczy skorygować ten czy inny wycinek, lecz trzeba zmienić cały system. Bo armia francuska broni dziś interesów, które wcale nie są interesami narodu francuskiego.

Niepokoi go słabość armii francuskiej, jej zły stan uzbrojenia, niskie morale, nie zastanawia się jednak nad faktem, że armia francuska służy imperializmowi amerykańskiemu. Zakłada konieczność wojny nie zastanawiając się nad sposobami jej uniknięcia. Nie wierzy w możliwość zwycięstwa w Indochinach, w których Francuzi „biją się za handlarzy", oburza go używanie wojska do pacyfikacji strajków robotniczych, nie zastanawia się jednak, że wyzysk zarówno własnego proletariatu, jak i kolonii jest podstawą ustroju kapitalistycznego i żeby temu położyć kres — trzeba położyć kres kapitalizmowi.

Swoją własną mieszczańską postawę człowieka „o zbyt małym sercu", człowieka zagubionego, który nie widzi przed sobą żadnej drogi, automatycznie rozciąga na prostych żołnierzy francuskich. Nie rozumie, że ci chłopi i robotnicy zawsze będą gotowi bronić swojej ojczyzny, nie mają tylko zamiaru dać się zabijać w obronie klasy i ustroju, które ich krzywdzą.

Ta kronika żołnierzy francuskich jest swojego rodzaju dokumentem, który ukazuje na jak kruchych podstawach opiera się dziś ustrój kapitalistyczny. Ci ludzie, którzy nie chcą wojny wiedząc, że byłaby dla nich narodową i osobistą klęską — muszą jeszcze uwierzyć, że nie jest ona koniecznością, a wówczas połączą swe siły z potężnym ruchem ludzi na całym świecie, którzy walczą o pokój światowy i położenie kresu wojnom.

A.N.

Szkoła Oficerów Rezerwy w K.
30 października.

JEŚLI dyscyplina stanowi podstawową siłę kierującą armią, to strach przed zwierzchnikiem wydaje się być rozstrzygającym czynnikiem dla poszczególnego oficera. Ten strach podnieca wszystkie szczeble służbowe i w ciągu mniej niż godziny cyklon zrodzony w kręgu gwiazdek spada na Szkołę Oficerów Rezerwy.

Republice niepotrzebni są żołnierze dokładnie uświadomieni politycznie, a tymczasem koledzy dali się przyłapać w mieście w momencie, gdy siedząc na ławce jakiegoś skweru czytali „Franc-Tireur". Wyobraźcie sobie, że jakiś gaduła doniesie prefektowi o tym niewinnym na pozór wypadku, a prefekt powiadomi rząd. Na iluż to oficerów padnie podejrzenie, że nie są wierni ustrojowi i iluż usłyszy zarzuty, że nie dość pracują nad kształtowaniem morale wojska. Cóż, „zastanawiać się, to znaczy być nieposłusznym". Wszyscy to wiedzą.

Kapitan, któremu powierzono wychowanie elewów, pozwolił się zbeształ, wiedząc, że weźmie odwet na szkole. Oto więc, skąd pochodzi sensacyjne kazanie dzisiejszego poranka:

„Niektórzy spośród was zostali pochwyceni w mieście w trakcie czytania gazety. To jest zabronione. Nie znaczy to, że nie możecie czytać prasy, lecz nie wolno wam czytać na ulicy. Możecie czytać wszystko co chcecie, ale nie w koszarach. Tu zabronione są dzienniki komunistyczne i tym podobne. Toteż nie chcę widzieć nikogo z was czytającego te broszurki. Zresztą, gdyby ktoś je czytał, to jego miejscem nie byłaby ta szkoła. Niech zmiata stąd — to opryszek. Niech tylko przyjdzie do mnie jeden z drugim — już ja go stąd wyprawię..."

Niestety, znajomość polityki nie wchodzi do programów wojskowych. Jak wytłumaczyć takiemu kapitanowi, że „Franc-Tireur" nie jest pismem komunistycznym, że „podobno" niczego nie wyraża, że prawo nie zabroniło jeszcze działaczom Partii Komunistycznej wstępu do plutonu i że czytanie „extra muros", to jednak czytanie.

Generał wcale nie jest zadowolony. Udzieliwszy nagany kapitanowi za złą postawę Szkoły Oficerów Rezerwy, zarzuca mu obecnie, że nie czuwa nad swoimi improwizacjami, że przekroczył granice lojalności itd. „Niech pan wyobrazi sobie, co by to było, gdyby pańskie słowa zostały przekazane do ministerstwa".

Jesienny wiatr wstrząsa liśćmi dębu. Nawet w wojsku nikt ci nigdy nie dopomoże.

Szkoła Oficerów Rezerwy w K.
6 listopada.

OD tego poranka obniża się morale resztek elewów. Porucznik nie jest za to w jakikolwiek sposób odpowiedzialny. Zrobił co mógł.

Po raz czwarty wyruszamy „składem" (grupa 10 aut ciężarowych), że by przećwiczyć obronę w wypadku zaskoczenia. Założenie ćwiczenia: pierwszy wóz wylatuje w powietrze na minie i zagradza drogę, zablokowana kolumna zostaje natychmiast zaatakowana przez nieprzyjacielskich partyzantów, ostrzeliwujących wozy i kierowców z zalesionych wzgórz.

Harcerska zabawa: człowiek kryje się, pełza, ustawia broń maszynową i w dalszym ciągu według założenia „opryszki" zostają wyparte ze swoich stanowisk. Jedyna trudność: okazuje się, że czas potrzebny na zajęcie pozycji wystarcza atakującym na rzucenie paru granatów i otwarcie gęstego ognia z karabinów maszynowych, unieruchamiającego wozy całej kolumny. Pozostaje już tylko to, co nazywamy „oczyszczaniem".

To zastrzeżenie Michała zniszczyło optymizm instruktora. Jakie wzruszająco proste jest jego wyznanie: „Oczywiście, ponieważ w ten sposób Ruch Oporu blokował konwoje niemieckie, a w Indochinach...."

Całkowita niemal pewność, że w wypadku zaatakowania konwoju zostaje się na placu, zmniejsza boleśnie radość z przejażdżki ciężarowkami. „Ale — podsunęło myśl kilku innych — skoro nasza armia zostanie bez wątpienia zmiażdżona olbrzymim natarciem ewentualnego nieprzyjaciela, dlaczego już teraz nie uczy się nas owej sztuki zasadzki?"

Porucznik nie odpowiedział. Czy dowództwo nigdy o tym nie myślało? Czy może lęka się zdolnych elewów?...

8 listopada.

MYŚL o „opryszkach" i o Indochinach straszy oficerów po nocach. Nie ma wykładu, by nie mówiono bądź o jednym, bądź o drugim. Kto to są „opryszki"?

To rodzajowe określenie oznacza partyzanta, który działa na tyłach armii, przecinając linie komunikacyjne, niszcząc rezerwy, przejmując rozkazy... W języku współczesnym nazywa się to „piątą kolumną".

Ale obok tego znaczenia technicznego, określenie to nadawane jest w armii niedwuznacznie wszystkim oponentom, bowiem oni właśnie podkopują jej siły zbrojne.

Jak dotąd, nic nowego. Wskutek znaczenia przypisywanego opryszkom wzbudzają oni wielkie zainteresowanie. Ich liczba i organizacja sieją panikę wśród sfer wojskowych. Zmienia się zasady taktyki, aby zapobiec atakom z ich strony, wyraża się żal, że wojna w Indochinach mobilizuje tak wiele wymyślnych narzędzi zabijania, które chciałoby się zarezerwować z myślą o „opryszkach" etc.

„Opryszki" są jak „wielki wilk": wszędzie się ich widzi, wszędzie przeczuwa... Lękają się ich obecności w samym sercu szkoły. Lecz jak ich wykryć? Komuniści (polityczne tłumaczenie wytwornego określenia „opryszki") nie pokazują nawet małego palca. Aby ich zdemaskować, po trzeba przebiegłości; innej niż ta, którą reprezentuje sierżant „Policaj". Tym bardziej, że postępowcy różnych kierunków mieszają karty. Jedni „maskują się" okazując bardzo powierzchowną pobożność; inni napadają na Partię Komunistyczną z zapałem, który chroni ich przed zniesławiającymi oskarżeniami. Jedni i drudzy oskarżają ustrój o takie podłości, że kropelka wody wsączona w toku rozmowy przez działacza partii spływa najczęściej niezauważona.

Myślę jednak, że odkryłem w brygadzie dwóch. A od wczoraj, gdy jeden z elewów, obecnie centrysta, zwierzył mi się, myjąc zęby, że rozpoznał wielu kolegów z czasów, gdy sam uczęszczał do jednej z komórek w Quartier Latin — wiem, że jest ich więcej. Czekajmy.

Obóz w C. Afryka Północna, pierwsza niedziela listopada.

NIECH to będzie dobry i prosty minister wojny. Domyślam się jego dobrodusznej sylwetki między sosnami; zbliża się do mnie, dając mi znak ręką i siada obok; przyglądam mu się z uwagą; tylko sny mogą wyczarować ministrów wojny, kochających pokój i ludzi.

Minister zaczyna:

— Dzień dobry — powiada — dzień dobry; biegłem wzdłuż piaszczystego wybrzeża od Algieru i spociłem się w listopadowym słońcu. Jestem ministrem i szukam kwiatów Afryki.

— Cześć, kolego ministrze. Jestem aspirantem twojej armii.

— A, mojej armii! dobrze! dobrze! A co ty myślisz o tej armii?

— O, kolego ministrze, tyle byłoby do powiedzenia!

Przede wszystkim to, że wcale nie jest zabawne być rozłączonym z tymi, których się kocha: na przykład ja, który to mówię do ciebie, kocham pewną kobietę i nigdy, nie zrozumiem, dlaczego państwo odrywa mnie od niej.

— No dobrze, a obrona ojczyzny?

— Kolego ministrze, moje serce jest zbyt małe, by kochać prezydenta Republiki, sztandar, Europę, Narody Zjednoczone, rewolucję, ojczyznę, wieczne wartości; tak więc wybrałem miłość kobiety, ona jest dla mnie wszystkim. Lecz skoro już to powiedziałem, chcę jeszcze dodać, kolego ministrze, że kocham armię, za którą jesteś odpowiedzialny wobec narodu.

— Dlaczego, do licha?

— Dlatego, że uczyniona jest na twoje podobieństwo: jest prosta i dobra. W ciągu roku gromadzisz ze swojej woli młodych ludzi tego narodu, a kiedy zdałeś sobie sprawę, jakim skandalem jest ten kategoryczny nakaz państwa-molocha, starałes się zwyciężyć tego potwora jego własną bronią.

Zamiast stłaczać żołnierzy w ohydnych, kamiennych domach, rozproszyłeś ich po wspaniałych, słonecznych obozach rozrzuconych po świecie; zamiast „przeprowadzać szkolenie" w ciągu więcej niż roku, jak to czyniono kiedyś, udało ci się w ciągu trzech miesięcy intensywnej pracy dać każdemu z ludzi potrzebne mu przygotowanie wojskowe. Później przegrupowałeś wszystkich i dałeś

każdemu zadanie do spełnienia. Od sześciu lat, podczas których działa ten system, kraj odzyskał około 180 milionów dni pracy rocznie, wykonywanej przez jego 900 tysięczną armię, gdyż 900000 pomnożone przez 200 dni rocznie daje urzekającą liczbę 180 milionów, które mnożę przez sześć, co daje blisko miliard dniówek należycie przepracowanych. Tę olbrzymią masę niewykwalifikowanych robotników, silnych lecz nieprzydatnych fachowo ramion, potrafiłeś przekształcić w godnych szacunku robotników dzięki twojej koncepcji, aby zawodowym oficerom i podoficerom dać jeszcze jakiś zawód. Wszyscy oni w istocie praktykując tu i ówdzie musieli się nauczyć jakiegoś fachu i tak twoja armia stała się dobrym pracownikiem narodu. Wszystkie zniszczone przez wojnę miasta zostały odbudowane tą bezpłatną niemal siłą.

Sprawa sięga głębiej, nauczyłeś tych ludzi, z których wielu nie miało jeszcze zawodu, fachu, który być może będą chcieli wykonywać i później. Złe języki zarzucały ci, że dostarczywszy tych robotników nowego typu doprowadziłeś do bezrobocia, lecz ty odpowiedziałeś, że po odbudowaniu miasta i zlikwidowaniu kryzysu mieszkaniowego, należy przystąpić do budowy tysięcy zapór, do kopania olbrzymich kanałów, że wielka ziemie trzeba przerobić niby glinianą kulę.

A ponieważ nie ubiegałeś się o armię, została ci ona dana jako naddatek: posłuchaj śpiewu żołnierzy, wczuj się w ich radość; oni wiedzą teraz, że istnieje coś, co może być warte ich śmierci.

Podmuch wiatru wydął surdut ministra, który odfrunął. Widziałem, jak mój rozmówca znika w dali niby kamyk odbijający się o powierzchnię morza.

Obóz w T. 6 grudnia.

G. wydrapuje wściekle dno swojej miski, minę ma ponurą, niecodzienną u niego; za chwilę gotów gryźć aluminium, rzucić się na mnie, lub obrzucić wyzwiskami Wszechmogącego Boga.

— Ty bardzo, bardzo, bardzo wierzysz w człowieka?

Ton jego jest uszczypliwy, postawa zaczepna.

— Dziś rano słyszałem zabawne rzeczy: było ich czterech i wachmistrz z powtórnego zaciągu, dyskutowali zaciekle o zasługach i błędach Ruchu Oporu. Po dziesięciu minutach zaczęło kipieć: „Wszyscy partyzanci to złodzieje, bandyci i — co więcej — mordercy; ja, który to wam mówię, rodem z Chose-les-becasses widziałem partyzantów, którzy, których itd..." Z początku nie wtrącałem się, sprawiało to na mnie takie samo wrażenie, jak kiedy zaczynali rozmawić o Żydach; wiesz jak to jest: przygniatająca świadomość, że trzeba będzie przez dwie godziny prowadzić wyczerpującą zgiełkliwą dyskusję, która nikogo nie przekona i wyjaśniać rzeczy tak oczywiste, że sama myśl o nich przyprawia o mdłości. Krótko mówiąc, miałem raczej ochotę przejść nad tym do porządku dziennego.

Po jakimś czasie opanowuję, mimo wszystko, obrzydzenie; wtrącam tonem przychylnym i powściągliwym: wojny nie prowadzi się świętymi młodziankami, zwłaszcza jeśli chodzi o walkę podziemną; istnieli w Ruchu Oporu łajdacy, ale „trzeba było prowadzić wojnę" i trzeba było ją wygrać.

Ta mówka wprawia ich wszystkich w osłupienie; później wachmistrz zapytuje mnie uprzejmie, czy to oznacza, że solidaryzuję się z FFI, FTP *) itd., odpowiadam, że tak, więc z dużą dozą logiki żąda ode mnie, abym ustalił, czy uważam się za człowieka zgadzającego się z łajdaczynami, mordercami itd. Zakwestionowałem wyrażenie „zgadzać się" użyte w odniesieniu do chłopców, o których była mowa, po czym oświadczyłem, że w zasadzie uczestniczyłem w tej samej walce, co oni, nie mogę więc ani nie chcę się ich wypierać.

Cała piątka cofa się o krok, otwiera oczy szeroko jak drzwi balkonowe i chłodno uznaje mnie za mordercę. Zaczyna mnie to irytować, podniesionym więc głosem przypominam im o S.T.O. **); ponieważ nie można było dopuścić do wyjazdu facetów, jedynym wyjściem było zepchnięcie ich do podziemia: tak, masowe zepchnięcie do podziemia dwudziestolatków jest ryzykowne, a w szczególności daje matematyczną niemal pewność, że część ich stanie się kiedyś zawodowymi bandytami.

Moi młodzi koledzy bez wahania i bez ceremonii odpowiadają, że całkowicie się z tym zgadzają i że dlatego właśnie uważają, iż nikt nie powinien był odmówić wyjazdu do Niemiec.

Przez sekundę stałem oniemiały: chłopcy, z którymi rozmawiam, mają po dwadzieścia lat, miłe oczy, jasną cerę, na którą z przyjemnością się patrzy; zastanawiam się, czy zwariowałem, czy też źle zrozumiałem. Nalegam, ponieważ mam niejasne wrażenie, że chodzi już nie o przekonywanie, lecz o uratowanie po prostu

(Dokończenie na str. 11)

*) FFI — Forces Françaises de l'Intérieur — podziemna organizacja wojsk, podległa władzom francuskim rezydującym w Londynie, a później w Algierze, reprezentująca politykę de Gaulle'a.
FTP — Franc Tireurs et Partisants — lewicowa organizacja podziemna.
**) S.T.O. — Service du Travail Obligatoire — kolaboracyjna organizacja, wysyłająca robotników do Niemiec.

Gracjan KOZŁOWSKI

ALEKSANDER HERCEN — PISARZ WALKI

NA marginesie świeżo wydanych przez PIW „Opowiadań"*) Aleksandra Hercena warto w kilku słowach przypomnieć życie i działalność tej wybitnej postaci wieku XIX, gdyż, trzeba to odważnie powiedzieć, Hercen — jego wielka twórczość filozofa, publicysty - rewolucjonisty, literata, wreszcie pamiętnikarza — są na ogół naszemu społeczeństwu nieznane. Trudno oczywiście szerokiemu ogółowi zalecać przestudiowanie wszystkich dzieł Hercena, liczących (z grubsza biorąc) około trzydziestu pozycji. Wystarczy, rzecz prosta, zapoznać się przede wszystkim z biografią pisarza. (Tu należy polecić publikację Fiszmana „Aleksander Hercen"). Następnie trzeba przeczytać przetłumaczone na język polski „Rzeczy minione i myśli" (są to nie tylko ze wszech miar interesująco napisane dzieje życia Hercena, ale i kopalnia wiadomości o najważniejszych wydarzeniach historycznych i najwybitniejszych ludziach ubiegłego stulecia). Wreszcie w dopełnieniu twórczego wizerunku Hercena (jako beletrysty) pomocne nam będą — żywo, barwnie i z wielką erudycją napisane — „Opowiadania", o których pomówimy za chwilę.

*

ALE najpierw, jak się rzekło, parę dat z życia Hercena. Daty te — rzecz to szczególna — są nam dobrze znane... z historii powszechnej. Oto np. pamiętny rok 1812 — rok urodzenia Hercena. Kiedy miał lat trzynaście, wybuchło powstanie dekabrystów (1825), które w psychice chłopca, kształconego przez Francuza — Bouchota, jakobina, i Protopopowa, studenta - rewolucjonistę, odbiło się niezatartym śladem. Nic też dziwnego, że po wstąpieniu na uniwersytet w Moskwie Hercen jak najściślej związał się z grupą młodzieży, która chłonąc dzieła Fouriera, Saint-Simona czy Hegla gardziła „życiem za cara", systemem policyjnym, pańszczyzną — a jednocześnie brała za wzór bohaterstwo dekabrystów, rewolucję francuską i postępową naówczas kulturę zachodnią. Oczywiście — po doświadczeniach z dekabrystami — carska policja z niezwykłą uwagą przyglądała się wszelkim zebraniom młodzieży uniwersyteckiej.

Koniec końców członkowie kółka z Hercenem na czele skazani zostali dwukrotnie na zesłanie. Za trzecim razem, a było to już niemal w obliczu „Wiosny Ludów", Hercen zmuszony był do opuszczenia Rosji na zawsze. Działalność literacką rozpoczął jeszcze na zesłaniu. Była ona oczywiście skrępowana przez cenzurę, tak jak i artykuły ogłaszane w moskiewskich czasopismach. Młody, niedawno ożeniony, banita, dla którego nie było miejsca w carskiej Rosji, rozpoczął swą wędrówkę od Paryża, po czym udał się do Włoch, następnie zaś do Genewy. Rok 1851 był dla Hercena szczególnie ciężki. Odumarli go wszyscy najbliżsi — matka i syn zginęli w katastrofie okrętowej, żona zmarła po długiej chorobie — a ponadto senat rosyjski pozbawił go wszelkich praw do majątku i skazał na „wieczną banicję". Nie decyzja senatu carskiego bolała Hercena, ale świadomość, że nigdy nie ujrzy rodzinnego kraju. Po śmierci żony zamieszkał w Londynie, gdzie rozwinął na przekór wszystkim „senatom" ożywioną działalność publicystyczno-rewolucyjną. W latach 1853-65 zorganizował tam Wolną Drukarnię Rosyjską, w czym żywy udział brała grupa Polaków ze Stanisławem Worcellem na czele. Następnie założył dwa pisma: „Poliarnaja Zwiezda" i „Kołkol" („Dzwon"). Pierwsze z tych pism nawiązywało bezpośrednio do tradycji dekabrystów (ich podobizny widniały na karcie tytułowej) i było *„poświęcone wyłącznie kwestii rosyjskiego oswobodzenia i rozpowszechnienia w Rosji wolności myśli"*. Drukowano w nim utwory zakazane przez carską cenzurę. „Kołkoł" — trybuna rosyjskiej demokracji rewolucyjnej — głosił m. in. konieczność niezawisłego bytu Polski: *„Wyzwolenie Polski* — pisał Hercen — *jest połową wyzwolenia Rosji. Wolna Warszawa jest śmiercią dla carskiego Pe-*

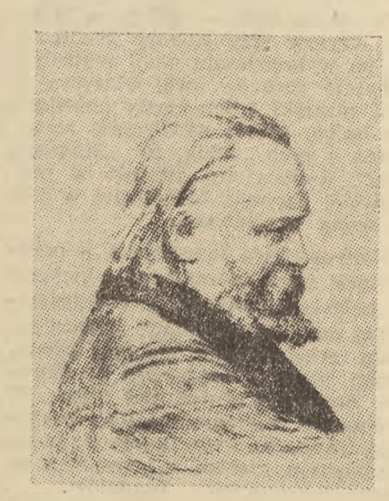

tersburga". Pisma wydawane przez Hercena dostawały się do imperium i budziły bezsilną wściekłość aparatu policyjnego, a jednocześnie u Hercena zjawiały się setki Rosjan, którzy widzieli w nim przywódcę postępowej części inteligencji rosyjskiej i opowiadali mu, co się dzieje w kraju. *„A więc trud nasz nie poszedł na marne* — pisał „Kołokoł". — *Nasza mowa, wolne słowo rosyjskie, rozlega się w Rosji i budzi jednych, straszy innych, a innym grozi zdemaskowaniem"*.

Podróże po Francji, Szwajcarii i Włoszech wypełniły ostatnie pięć lat życia Aleksandra Hercena († 1870).

Z najważniejszych i najbardziej istotnych dla całokształtu twórczości Hercena utworów trzeba wymienić, poza „Rzeczami minionymi i myślami" oraz opowiadaniami, powieść „Kto zawinił?" i dwie prace filozoficzne.

„Kto zawinił?" — to z jednej strony dramat rodzinny małżeństwa Kruciferskich, to również dzieje „niepotrzebnego człowieka" Beltona, mądrego i wykształconego, owianego potrzebą pracy dla społeczeństwa, marzącego o prawdzie i sprawiedliwości, dla którego nie ma miejsca w ramach panującego ustroju — z drugiej zaś strony jest to jakby akt oskarżenia tego właśnie ustroju. Ustroju, w którym muszą zginąć ludzie zdolni do pożytecznej pracy, w którym kobieta jest czymś w rodzaju niewolnicy.

Kto jest winny nieszczęść bohaterów powieści? Niewątpliwie, częściowo oni sami, ale głównym, jakby ukrytym sprawcą jest ustrój feudalno-pańszczyźniany, w którym żyją. Taki jest sens moralny tej powieści, która dla współczesnych miała znaczenie niemal manifestu programowego.

Z dwóch słynnych prac filozoficznych, ogłoszonych w latach 1843-1846, jedna nosiła tytuł „Dyletantyzm w nauce", druga zaś „Listy o badaniu przyrody", a obie przeprowadzały krytykę teorii filozofów niemieckich, Schellinga i Hegla. Zwłaszcza wystąpował Hercen przeciwko heglistom rosyjskim, którzy interpretując na swój sposób formułę Hegla *„wszystko, co jest rzeczywiste — jest rozumne i wszystko, co jest rozumne — jest rzeczywiste"*, wyznawali zasadę całkowitego uznania i podporządkowania się istniejącej rzeczywistości. Poglądy wysunięte przez Hercena w jego pracach filozoficznych miały duże znaczenie w rozwoju rosyjskiej filozofii ubiegłego stulecia.

*

„Od wczesnej młodości pragnąłem działania, pełni życia — pisze Hercen we wstępie do „Wspomnień pewnego młodego człowieka" — *wir życia kusił mnie, ale ledwo zacząłem żyć, jakaś bufera infernale (burza piekielna) porwała mnie i rzuciła daleko od ludzi, ograniczyła krąg mego działania i zmusiła do bezczynności"*. Ta „bufera infernale" — to oczywiście zesłanie. Chcąc czymś wypełnić przymusową bezczynność, Hercen za namową narzeczonej przystąpił do pisania swych młodzieńczych pamiętników, dzięki którym nie tylko, jak sam pisze — *„brzemię teraźniejszości stawało się mniej uciążliwe, wesołość wracała; wraz z przeszłością ożywałem ja sam"* — ale wyrabiał swe pióro, kształtował styl, zresztą i tak już pełen swoistego humoru, dojrzewającego artyzmu i trafności spostrzeżeń. Że we „Wspomnieniach" odnajdujemy nieraz nastroje wertherowskie, nie należy się temu dziwić. Działał tu przemożny wpływ *„poematów wielkich mistrzów: Goethego, Szekspira, Puszkina, Walter Scotta"* (no i, oczywiście, Schillera). Poprzez sielskie dzieciństwo i romantyczną miłość młodzieńca, trafiamy w wir studenckich zabaw i naelektryzowaną protestem przeciw „miłościwie panującej" rzeczywistości atmosferę zebrań młodzieży uniwersyteckiej, nad którą *„gromadziły się chmury czarne, groźne i posępne..."* Tak więc, w drugiej części „Wspomnień" oczami zesłanego studenta przyglądamy się martwocie *„patriarchalnych obyczajów miasta Malinowa"*. Malinów czyli Wiatka, gdzie Hercen przebywał na zesłaniu w latach 1835-1837, to nie tylko głucha prowincja, ale sui generis partykularz duchowy, którego mieszkańcy od najwyższego dygnitarza miejscowego począwszy, a kończąc na najbardziej szarym urzędniczynie żyją jakimś przerażająco bezdusznym, mechanicznym życiem. Tej rzeszy łapowników, biurokratów i policmajstrów malinowskiego ciemnogrodu autor „Wspomnień" przeciwstawia tylko jednego pozytywnego i czującego „po ludzku" mieszkańca. To obywatel ziemski, Trenziński, o którym zgorszeni malinowianie mówią, iż rozpuścił swoich chłopów do tego stopnia, że chodzą w butach na codzień i trzymają u siebie parobków! Ale jednocześnie Trenziński to charakterystyczny dla dalszej twórczości Hercena typ „niepotrzebnego człowieka", który mimo wykształcenia, postępowych przekonań i całej swej humanitarności nie potrafi przebić skorupy obskurantyzmu swej epoki, stając się w końcu zdziwaczałym samotnikiem.

O ile pojęcie „chłop pańszczyźniany" jest dla każdego zrozumiałe, o tyle „pańszczyźniany aktor" może budzić pewne wątpliwości. Otóż w okresie feudalizmu na książęcych dworach utrzymywano teatry, których aktorzy rekrutowali się z podwładnych, a nieraz z tychże samych chłopów pańszczyźnianych. (Przy okazji nie od rzeczy będzie przypomnieć, że o takim właśnie dworskim teatrze opowiada w swych świetnych pamiętnikach wielki artysta i reżyser rosyjski K. Stanisławski, opisując trupę dramatyczną niemieckiego księcia Meiningen). Nowela pt. „Sroka—złodziejka" przedstawia nam tragiczne dzieje pańszczyźnianej aktorki, Sjemionowej (1786-1849), która upamiętniła się w historii teatru m. in. rolą w sztuce pod tym tytułem. Okrucieństwo i niegodziwość księcia-despoty stały się przyczyną śmierci ambitnej aktorki. Pierwsza część tej noweli, napisana w formie dialogu, swą tematyką nawiązuje do tradycji klasycznego „Paradoksu o aktorze" Diderota. Zresztą i tragiczne losy Sjemionowej są najlepszą ilustracją słynnego postulatu Wielkiego Encyklopedysty: *„Czyż nie przyniosłoby pożytku, czyż nie należałoby sobie życzyć, aby nasi aktorzy podnieśli się do stanu najzacniejszych obywateli!"*

Do najciekawszych i najbardziej cryginalnych w omawianym zbiorze opowiadań niewątpliwie zaliczyć należy nowele: „Doktor Krupow" i „Aphorismata". Stanowią one tematyczną całość, której bohaterami są doktor Krupow — psychiatra i Tytus Lewiatański — prosektor. Doktor Krupow dzieli się z nami swymi odkryciami w zakresie „psychiatrii porównawczej", udowadniając za pomocą licznych przykładów, że przytłaczająca większość ludzi na świecie — to umysłowo chorzy, natomiast stosunkowo najzdrowsi są ci, których złośliwe, nienormalne społeczeństwo zamyka w szpitalach, drażniąc ich i szykanując. Oto naczelny lekarz zakładu — czytamy w ciekawym referacie dr Krupowa *„był bez wątpienia bardziej upośledzony na umyśle niż połowa jego chorych (zawieszał sobie na przykład na szyi jeden order, a dwa inne w klapach surduta po to, by przejść przez salę wariatów; dawał do poznania felczerom, że jest mu przyjemnie, gdy mówią do niego — ekscelencjo, choć miał rangę radcy stanu..."* Dr Krupow podaje wiele innych przykładów, już nie tylko z obserwacji swych współczesnych, ale także z dziejów świata, gdzie wyraźnie uwidacznia się, że... *„historia — to autobiografia obłąkanego"*. Jakąż psychoterapię zaleca ludzkości dr Krupow? Leczenie szampanem... Czyli inaczej mówiąc, biedny Krupow, który *„od dziesięciu lat nie szczędząc wydatków ani zdrowia"* bada wpływ szampana na „skłonności umysłowe", jest po prostu alkoholikiem, człowiekiem umysłowo chorym. We wstępie do pierwszego wydania „Doktora Krupowa" Hercen pisał: *„... z doktora Krupowa można się śmiać, ale nie można na niego się gniewać. A właściwie można i należy mu powiedzieć: medice, cura te ipsum!"* Wywody Krupowa są rzeczywiście zabawne, ale utwór jest jednocześnie ostrą satyrą na współczesne Hercenowi społeczeństwo. „Aphorismata" — to jeszcze bardziej niż „Doktor Krupow" złośliwa satyra na obłędne poczynania dyktatorów i imperatorów wszelkiej maści. *„Kto odniósł wszystkie zwycięstwa, którymi pysznią się wieki?... Kto odciągał lud od sochy, dawał mu zamiast niej miecz i z siewcy zboża robił go siewcą śmierci, zabójcą z zawodu, pogromcą i zdobywcą... Kto...? Czy rozum...? Kto pozwala bogaczowi rozkoszować się wszystkimi darami i dobrodziejstwami życia w obliczu głodnych, zziębniętych, obdartych mas?..."* — woła „uczony" prosektor Tytus Lewiatański, głosząc chwałę „powszechnego obłędu". (Przypomnijmy tu sobie, że w swej wczesnej młodości Hercen upajał się krążącą naówczas w odpisach sztuką Griboiedowa „Mądremu biada"). Walkę Griboiedowa z obskurantyzmem epoki Hercen w „Aphorismata" wzbogaca walką z wszelkimi przejawami absolutyzmu, z *„imperatorami w czerwonych spodniach i z imperatorami w białych spodniach"*.

W króciutkim opowiadaniu pt. „W przejeździe" Hercen obnaża tajniki bezduszności i biurokratyzmu carskiego sądownictwa, gdzie sądzony człowiek był mało znacznym dodatkiem do „niewzruszalnych" ustaw i zmurszałych, bezlitosnych paragrafów „Kodeksu prawa".

W roku 1848, przebywając już w Paryżu, wysłał Hercen do Petersburga swój świeżo napisany utwór pt. „Obowiązek przede wszystkim". Były to niedokończone zresztą dzieje księcia Anatola, który w imię obowiązku *„dokonuje bohaterskich aktów wyrzeczenia, tłumi w sobie namiętności, składa w ofierze swoje umiłowania... Siły tego człowieka miały się zmarnować bez pożytku dla innych, bez zadowolenia dla niego samego"*. Zasadniczym celem utworu nie było oczywiście ukazanie losów młodego księcia. *„Chciałem przedstawić w swojej powieści* — pisze Hercen w obszernym posłowiu — *taki charakter oraz środowisko, w którym się kształtował, naszą rodzimą glebę albo lepiej — nasze rodzime błoto, które powoli wciąga, dławi i nieuchronnie zaciera rysy każdej indywidualności, choćby nie wiem jak się broniła"*.

Rzecz jasna, opowiadanie nie zostało wydrukowane, co Hercen zupełnie słusznie przypisywał *„ostremu atakowi choroby cenzorskiej"*. Trzeba dodać, że atak ten przede wszystkim skierowany był przeciwko autorowi „Kto winien?", co w konkluzji przyniosło niesławną uchwałę senatu.

Zbiór omawianych opowiadań zamyka utwór pt. „Doktor, umierający i martwi", gdzie w ulubionej przez Hercena formie dialogu przeprowadza on wnikliwą analizę historiozoficzną wypadków dwóch rewolucji francuskich. W ten swoisty dla Hercena-erudyty wykład wmontowana jest pouczająca, acz nie pozbawiona cech romantyzmu historia „zatwardziałego" jakobina, Łukasza Ralier.

Aleksander Hercen pojmował sztukę jako oręż w walce rewolucyjnej. Walce tej poświęcił swój wysoki artyzm, głęboką wiedzę, poświęcił całe swe życie. Hercen jest wzorem wszechstronnego publicysty, nie tylko wtedy, kiedy ze szpalt „Kołokoła" czy „Poliarnoj Zwiezdy" atakuje zmurszały bastion absolutyzmu, ale we wszystkich swych utworach literackich, wplatając w akcję opowieści swe wnikliwe uwagi na tematy filozoficzne, artystyczne czy społeczne.

Chyba najtrafniej określił oryginalną osobowość twórczą autora „Kto winien?" współczesny mu Bieliński, pisząc o Hercenie, że *„w jakiś cudowny sposób potrafił zbliżyć rozum do poezji"*.

Gracjan Kozłowski

*) Aleksander Hercen — Opowiadania. Przekład K. Bilskiej. Przypisy i posłowie — M. Wańkowiczowej. Państwowy Instytut Wydawniczy. Kraków 1952. Stron 438.

NA OKRES WIELKANOCNY

„VERITAS"

poleca:

FIGURY	— Chrystus do grobu	150, 120 cm.
	— Zmartwychwstanie	85, 60, 30, 20 cm.
	— Anioły adoracyjne para	80, 50, 25, 18 cm.

oraz

paschały, świece kościelne, kadzidło, węgielki do trybularzy itp.

CENTRALA: WARSZAWA, MOKOTOWSKA 43

adres pocztowy: Warszawa 1, skrytka Nr. 451.

sklepy:

Białystok, Dąbrowskiego 1
Bydgoszcz, 1 Maja 54
Częstochowa, 7 Kamienic 27
Gdynia, Świętojańska 46
Giżycko, Mickiewicza 36
Kalisz, Garbarska 2
Kraków, Sławkowska 20
„ Księgarnia Krakowska
„ Św. Krzyża 13
Lublin, Królewska 7
Łódź, Andrzeja Struga 14
Nowy Sącz, Św. Ducha 3
Opole, Kościelna 1
Pabianice, Armii Czerwonej 27
Poznań, Kantaka 10
Racibórz, Długa 39
Siedlce, Świerczewskiego 20
Sopot, Prof. Bieruta 7
Szczecin, Śląska 7
Świdnica, Nowotki 48
Tarnów, Krakowska 38
Toruń, Rynek Starom. 17
Warszawa, Widok 5
„ Mokotowska 43
Wrocław, Katedralna 6
Zielona Góra, Świerczewskiego 67

Andrzej ODNOWA

Fredro w walce z cudzoziemszczyzną

Teatr Powszechny w Warszawie, Aleksander Fredro: „Zrzędność i przekora" oraz „Cudzoziemczyzna".

Reżyseria: Karol Borowski. Scenografia: Zofia Węgierkowa.

SNOBIZM na zagranicę posiada w Polsce długą i bogatą tradycję, od renesansowego „wydwarzania", opisanego przez Górnickiego— poprzez „kawalerów modnych" i „fircyków" wieku XVIII, anglomanów w typie Hrabiego i sentymentalnych sawantek à la Telimena z „Pana Tadeusza" czy „Podfilipskich" z końca XIX w. — aż po wielbicieli amerykańskiego stylu życia za naszych dni. Pisarze polscy ze Słowackim na czele toczyli zaciętą walkę z tą narodową chorobą papuzią, a teatr, jeśli wziąć pod uwagę Zabłockiego („Fircyk w zalotach"), Józefa Korzeniowskiego („Wąsy i peruka") czy Moniuszkę („Hrabina", „Straszny dwór") był w tej walce bronią szczególnie groźną. Zjawisko i zagadnienie społeczne nie mogło też oczywiście ujść uwagi tak bystrego obserwatora życia, jakim był Fredro. Już w początkach twórczości dostarczyło mu interesujących momentów w „Mężu i żonie" czy „Panu Geldhabie", aby w „Cudzoziemczyźnie" (1822) wypełnić ramy całej pysznej komedii.

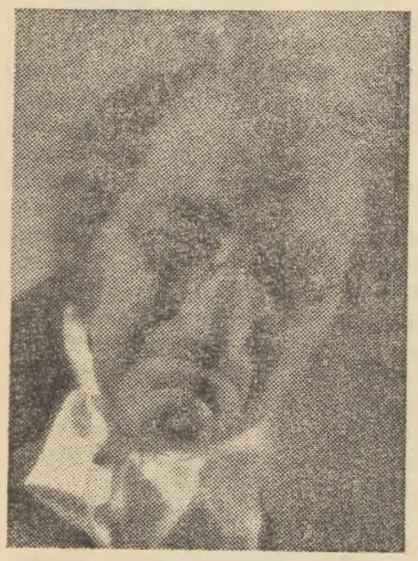

K. Wilamowski w roli Piotra Zrzędy w „Zrzędności i przekorze" A. Fredry

fot. C.O.P.A.

Słuchając jej dzisiaj odnosi się miejscami wrażenie, że tendencja utworu przegięła się już w stronę przeciwną, że i Fredro uderza w ton współczesnych sobie piewców swojszczyzny i zaścianka. Okrzyk „nawróconego" Radosta: „Co cudze dobła warte, a najlepsze swoje" — tę wypowiedź postaci, rozpierającej komedię swym temperamentem, mamy już chęć brać za właściwy wykładnik morału: za wyraz zadowolonego z siebie prowincjała. Uważniejszego widza wywiedzie z tej omyłki końcowy kontredans amantów, świetny chwyt konstrukcyjny, uwypuklający harmonijny pogląd Fredry na „swoje" i „obce". Okazuje się, że snobistyczny entuzjasta obcych nowinek nie wykroczył nigdy poza własny zakątek, podczas gdy głosiciel szacunku dla wartości narodowych skonfrontował je w swych wojażach ze zdobyczami szerokiego świata.

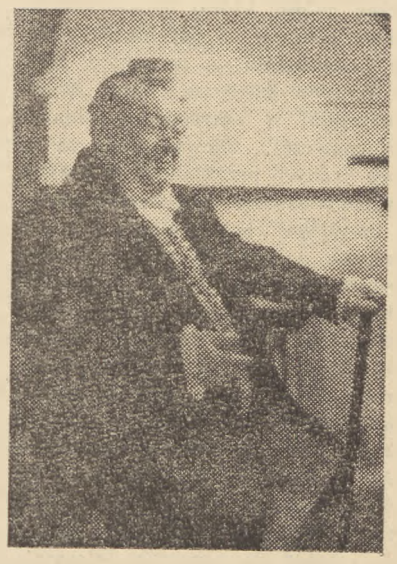

T. Chmielewski jako Radost w „Cudzoziemczyźnie" A. Fredry

fot. C.O.P.A.

Jak wiele znaczy na scenie silna aktorska indywidualność! — Przedstawienie „Cudzoziemczyzny" w Powszechnym na nowo nas o tym przekonało. Przed rokiem widziałem ten sam utwór w wrocławskim Teatrze Młodego Widza (w reżyserii i z główną rolą Wacława Zdanowicza) i mimo znacznego artystycznego wysiłku tamtejszego zespołu komedia młodego Fredry ujawniała wszystkie swoje braki, nieprawdopodobieństwa psychologii, nieoczekiwane zwroty akcji. W obecnym przedstawieniu warszawskim prawie zapomniało się o nich, tak bardzo pochłaniała widza porywająca, pełna życia kreacja Tadeusza Chmielewskiego. Inna rzecz, że ani reżyseria Karola Borowskiego, b. staranna, ani sam Chmielewski nie wzięli zbyt serio tego, co czytamy w programie o postaci Radosta. „Tradycyjny, głupi i okrutny szlachcic, tyranizujący dom, poddanych i własną córkę..." Czy to wszystko prawda? Głupi bo głupi, próżny, snob, i to snob uparty w swych fanaberiach, gorliwie naśladujący arystokrację. Lecz Radost jest na szczęście żywym człowiekiem, jest zmienny i w ruchu jak samo życie. Ma mimo wszystko jeszcze tyle zdrowego rozsądku, aby przepędzić etranżerów, kiedy zanadto biją go po kieszeni, a prócz tego ma bogactwo innych odcieni psychicznych, które czynią go wymarzoną rolą dla aktora. Odcienie te wygrał Chmielewski zadziwiająco, dodając do laurów komika nieoczekiwanie głębokie tony liryczne.

Wielką wartością kreacji Chmielewskiego jest ukazanie współgrania, ale i sprzeczności owych dwóch warstw psychicznych w Radoście: dziwacznego nalotu, pokostu cudzoziemskiego, spoza którego ustawicznie wyziera prawdziwa polska natura, wyrażająca się temperamentem i zamaszystością sarmaty. Niewątpliwie, można było ująć to wszystko mniej ciepło, bardziej satyrycznie, lecz niewiadomo, czy nie ulotniłby się wówczas swoisty humor i komizm tej postaci, komizm połączony z sentymentem i jakąś zwycięską wiarą w odrodzenie i trwałość istotnych cech narodowych. Ujęcie Chmielewskiego, bardzo fredrowskie, było poważnym sukcesem artysty, który objawił nam nowe, czy tylko mniej znane, strony swego talentu.

Drugą dobrą a trudną postacią przedstawienia, był Zdzisław w wykonaniu Czesława Byszewskiego. Był on mimo wszystko bardziej nowoczesnym światowcem i było to słuszne. Stworzył postać wytworną i szlachetną, rozumną i pociągającą. Pięknie mówił wiersz — da się to powiedzieć o większości wykonawców i jest dodatkowym walorem przedstawienia. Wyróżnili się w nim jeszcze Józef Zejdowski w ciepło ujętej roli wiernego sługi i Bogdan Szymkowski, groteskowo potraktowany blagier Etienne. Ewa Pachońska w trudnej roli wahającej się Zofii dzielnie walczyła z obciążeniami własnej indywidualności aktorskiej i miała dobre momenty łez wśród udawanego śmiechu. Natomiast banalnie, sięgając po ograny chwyt z wymową „r" zagrał tym razem rolę Astolfa Zygmunt Wojdan. Również Julia Teofili Koronkiewicz nie była ani hrabiną, ani siostrą swego brata — czy nie należałoby już skończyć z konwencją tej postaci jako starej panny, niemal rezydentki? Niech już raczej będzie wielką damą, honorowanym gościem w domu snobującego się na arystokrację Radosta.

Mimo dwóch ostatnich zastrzeżeń przedstawienie „Cudzoziemczyzny", komedii bardzo i dziś aktualnej, jest nowym sukcesem Teatru Powszechnego. Jest to zarówno sukces reżyserii K. Borowskiego i aktorskiej kreacji T. Chmielewskiego, jak i pięknej scenografii Zofii Węgierkowej. Święci ona jeszcze większy sukces w dodanej do spektaklu jednoaktówce Fredry z tegoż roku 1822, w „Zrzędności i przekorze". Stylowość tego satyrycznego utworku podkreśliła Węgierkowa idealną symetrią empirowego wnętrza i kostiumami epoki przejściowej ku romantyzmowi, z jej anglomanią, widoczną też i w scenografii „Cudzoziemczyzny".

W przedstawieniu w Teatrze Powszechnym wyczuwało się zbyt małe zróżnicowanie tytułowych cech w postaciach dwóch braci Zrzędów, sprawujących opiekę nad ukochaną młodziutką Zofią. Pokusiwszy się o wystawienie trudnego i niewdzięcznego utworu Teatr zdołał dać jedynie poprawną stylową ciekawostkę, inscenizowaną satyrę obyczajową, ukazującą już co prawda szeroką skalę pisarską młodego Fredry.

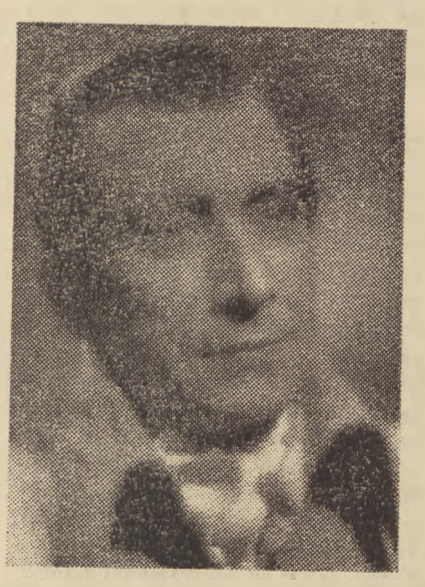

Cz. Byszewski w roli Zdzisława w „Cudzoziemczyźnie" A. Fredry

fot. C.O.P.A.

Andrzej Odnowa

Modlitewnik dla Dorosłych
JEZU DOBRY PASTERZU
Oprawa w płótno
Cena zł. 20.—

Sigrid Undset
OLAF SYN AUDUNA
2 tomy
Cena zł 76.—

Janina Kolendo
SZUKAJĄC DROGI
Cena zł 20.—

Tadeusz Gajcy
UTWORY ZEBRANE
Cena zł 25.—

J. Nowak-Dłużewski
KS. STANISŁAW KONARSKI
Monografia
Cena zł 20.—

Wysyła Biuro sprzedaży „PAX", Mokotowska 43, Warszawa, za zaliczeniem lub po wpłacie na konto PKO nr I-8515 z dodaniem zł 3.— na koszt przesyłki.

Leszek PROROK

»Magazyn mód«

KRYŁOW-bajkopisarz znany jest u nas powszechnie. Kryłow-dramaturg prawie wcale nie jest znany. A jednak początki twórczości poety, i to nader wczesne, upłynęły pod znakiem literatury scenicznej. Młodzieńcze pierwociny, wśród których nie brakło tragedii i komedii, pozostały jedynie próbami autorskimi. Do dramaturgii Kryłow powrócił w dojrzałym wieku, po latach obfitych doświadczeń literackich, a zwłaszcza publicystycznych, po ostrych utarczkach z cenzurą carską, a wreszcie po kilkuletnim okresie pobytu na prowincji, dokąd wycofał się odłożywszy pióro do pomyślniejszych dla satyryka czasów.

W latach 1806 — 1807 pisze 38-letni Kryłow trzy utwory sceniczne, by po wyładowaniu pasji teatralnej odnaleźć wreszcie swój właściwy rodzaj pisarski i bez reszty poświęcić się bajce, której zawdzięcza sławę. Jedna z tych sztuk, to „Magazyn mód", wystawiony ostatnio w poznańskiej Komedii Muzycznej w ślad za sceną wrocławską.

Niefrasobliwa komedyjka o perypetiach pary ziemian-prowincjuszy w hulaszczej, opętanej cudzoziemskimi manierami stolicy, wyraża nie mało uniwersalnych ideałów Oświecenia, które w wędrówce po Europie, dotarły również nad Newę. W podobnych komediach młoda burżuazja francuska rozprawiała się przed niedawnym czasem z zepsuciem uprzywilejowanych feudałów.

„Magazyn mód", zamykający fazę twórczości Kryłowa, związaną bezpośrednio z Oświeceniem, zawiera też niemało elementów rodzimych. Wyraża je nade wszystko ostra parodia taniego, snobistycznego kultu cudzoziemszczyzny, i to przez najmniejsze c. Import idei postępowych z Francji pociągał za sobą import etranżerskiej tandety, zlot obieżyświatów i okpigroszy, żerujących na próżności uwiedzionej mirażem paryskiego szyku. Uległa mu zdecydowanie rosyjska „żona modna", Sumburowa. Technikę zdzierania skóry z naiwnych prowincjuszy ukazuje wyraziście jej występ w magazynie m-me Caret. Cyniczne praktyki paryskiego półświatka carskiej stolicy, lichwę, kontrabandę, intrygi — zatarg dwojga godnych kompanów, właścicielki magazynu i szczwanego łotrzyka, monsieur Triché.

W tej warstwie treściowej autor nie ograniczył się do samej prezentacji negatywu, lecz ustami pozytywnego, choć śmiesznego i ośmieszonego rezonera, papy Sumburowa, przeciwstawił surowość patriarchalną wielkomiejskiej swobodzie obyczajowej. Widz polski odnajdzie tu raz po raz akcenty znane, częste i w naszej dramaturgii przełomu XVIII i XIX w.

*

NA wstępie I aktu otwierają magazyn mód — niczym zabawne pudełeczko z niespodzianką. Zręczne rozwiązanie dekoracyjne inscenizacji poznańskiej (A. Jędrzejewskiego), pozwalające na równie wyrazisty nawias końcowy, wprowadza gładko w świat zabawy scenicznej. Później dopiero jawią się nieporozumienia.

Naczelne — to chyba sprawa tempa. W poznańskm „Magazynie" było ono zwolnione. Zabrakło licującego z charakterem całości i niewątpliwie z intencją autorską, baletowego pośpiechu modystek, furkotania sukien, większego zamętu w magazynie. Subretka Masza (J. Marisówna), główna sprężyna akcji, bliska krewniaczka molierowskiej Doryny, była też zbyt powolna. W scenie nieporozumienia z Sumborowem brak błyskawicznych spięć i rykoszetów słownych utrudnił akcentację pikantnych dwuznaczników. Za wolny jeszcze i za mało jazgotliwy, za wyraźny, był dobry poza tym koncert obelg w parysko-petersburskim żargonie. Odegrali go M. Maciejewska (M-me Caret) i Z. Relski (M-r Triché). Raziła opieszałość sceny policyjnej rewizji. Zbyt statycznie wypadła scena śmiechu (wyraźnie wymuszonego) modystek i służącego w II akcie. Brak tempa uwidaczniał przerwy w kwestiach lub po nich (np. u Sumburowej), widoczne jak ściegi, które powinna była pokryć robota reżyserska.

Komedia farsowa, porzucająca utarty szlak łatwych rozwiązań, osławionej sztampy, wymaga od wykonawców rozwiniętej „vis comica", trudnej do sprecyzowania właściwości, która niezależnie od tekstu sanym gestem, mimiką, postawą czy intonacją budzi śmiech na widowni. Dar ten zaprezentował w pełni Zdzisław Relski, poza nim w pewnym stopniu chyba tylko St. Posselt (służący Antrop). Relski, choć ucharakteryzowany raczej na Niemczyka niż Francuza, bawił szczerze parodią łamanej mowy i nasyceniem gestu oraz gry twarzy groteską. Takim był zapewne w oczach Mickiewicza frant paryski nad Newą „Monsieur Żoko", co to: „Lekcyje daje paryskim akcentem, jest kuchtą dworskim, wódczanym poborcą, basem w orkiestrze, przy tym szkół dozorcą". Relski brał widzów nade wszystko nową zupełnie sylwetką scenicz-

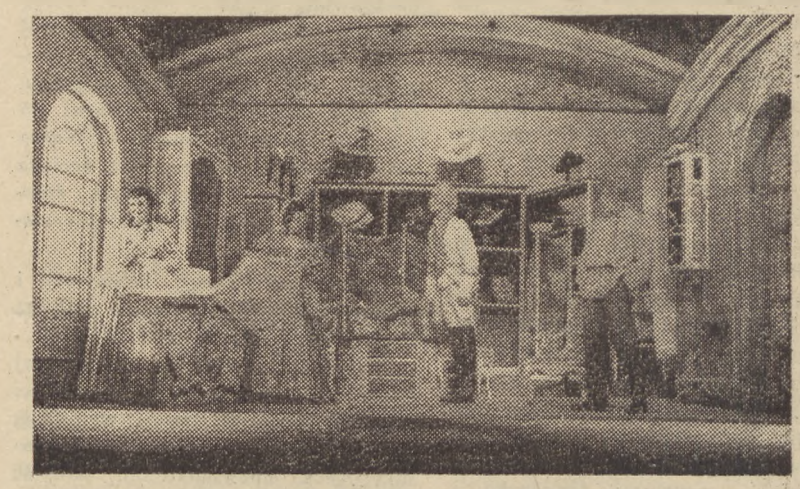

Państwowy Teatr „Komedia Muzyczna" w Poznaniu. Scena zbiorowa ze sztuki J. A. Kryłowa „Magazyn mód". Od lewej J. Marisówna (Masza) S. Mazarekówna (Samburowa) A. Hanuszkiewicz (Lestow) S. Posselt (Antrop).

fot. Z. Maksymowicz

ną, bez reliktów wcześniejszych kreacji. Nie można tego bez reszty powiedzieć o trójce szlacheckiej: (Samburowie: S. Mazarekówna i Wł. Stoma, Lestow — A. Hanuszkiewicz, za razem reżyser przedstawienia) oraz o Maszy, których role zawierały — niewątpliwie bez zamierzenia — domieszkę Fredry; zwłaszcza w postaciach Sumburowych dźwięczały raz po raz pogłosy ciotuni i majora huzarów. Nie jest to wprawdzie błąd zasadniczy, lecz w stałym bywalcu budzi poczucie pewnego braku. J. Marisówna jako Masza, mimo zastrzeżeń uprzednich, dała zresztą kreację lepszą niż bezbarwna Zosia w niedawnych „Damach i huzarach".

Komedia przechodząca w farsę nie jest rodzajem odpowiednim dla A. Hanuszkiewicza. Mimo tego starał się on jak najlepiej odtworzyć Lestowa, gwardzistę dworu z fantazją, lecz bez grosza. Zamaszystość żołnierska i poufałość wobec Maszy wypadła w tej roli znacznie lepiej niż romantyczne zabiegi o Lizę Sumburow. M. Maciejewska jako m-me Caret nie wytrzymała zestawienia ze swym francuskim partnerem Relskim. Zawiodła B. Bieńkowska jako Liza.

Do pochwał pod adresem scenografii trzeba dorzucić pochlebną ocenę kostiumów J. Przeradzkiej. Szczególnie efektownie wypadł oficerski mundur gwardyjski Lestowa. Ilustrację muzyczną opracował Ryszard Gardo.

W sumie, mimo staroświeckich naiwności, mimo ospałości w ruchu scenicznym, przy dzisiejszej posusze na repertuar rozrywkowy „Magazyn mód" długo będzie bawić poznańską publiczność, stanowiąc przy tym cenne, pouczające pendant do licznych obecnie i odkrywczych rewindykacji teatralnych z dorobku polskiego Oświecenia.

Leszek Prorok

Zygmunt LICHNIAK

WŚRÓD TŁUMACZEŃ

W szeroko prowadzonej akcji przekładów główne wydawnictwa państwowe podjęły u nas ostatnio zadanie dostarczenia nam tłumaczeń nie tylko najwybitniejszych pisarzy współczesnych, reprezentujących czołowe osiągnięcia literatur obcych, ale także zadanie ukazania nam utworów, które nie stanowią w swoich krajach wydarzeń literackich pierwszej rangi, lecz są wyrazem walki o nową literaturę, walki angażującej przecież nie tylko André Stilów, lecz i Lafitte'ów. Dzięki temu dociera do nas nie tylko Anna Seghers, lecz i Maria Leitner, nie tylko Jorge Amado czy Alfred Varela, lecz i Raul Larra, nie tylko Louis Aragon, lecz i Pierre Gamarra.

Książki tych mniej u nas znanych pisarzy, bo i mniejszą rolę odgrywające w ich krajach, zasługują także na uwagę, są bowiem zarówno uzupełnieniem pośrednim naszej wiedzy o rozwoju i przełomach życia literackiego, o którym nie zawsze jesteśmy dobrze poinformowani, a poza tym stanowią element istotny w ogólnej panoramie wydarzeń, w których wszyscy uczestniczymy niemal bezpośrednio. Dlatego źle się stało, że o książkach tych albo bardzo mało, albo w ogóle u nas się nie pisze. Zaniedbanie to dotyczy przede wszystkim literatur takich, jak niemiecka, francuska, brazylijska czy włoska.

Warto więc od czasu do czasu odłożyć na osobną półkę książek, czekających na omówienie, kilka tłumaczeń, warto zająć się nimi w osobnej rubryce, wyznaczyć im wspólne miejsce na jednej kolumnie, chociaż może nie łączy ich ani tematyka, ani poziom, ani nawet dokładny rok wydania. Łączy te książki jedno: dają one wgląd w literaturę obcą, zapoznają z nią od strony przeciętnej produkcji kulturalnej. A to bardzo ważne.

LUDZIE NAD GARONNĄ

Pierre Gamarra: Domy nad Garonną, tł. z jęz. franc. J. Lisowski, wyd. Czytelnik, W-wa 1952, str. 150.

Powieść Pierre Gamarry przypomina powieść Vasco Pratoliniego. Między „Domami nad Garonną" a „Ulicą ubogich kochanków" istnieje duża zbieżność pomysłów literackich i wynikającej z nich lub dyktującej ich realizację koncepcji ujmowania losów ludzkich. Ale to zestawienie nic lub niewiele tłumaczy. O wspaniałej powieści włoskiego pisarza poza jej tłumaczem i Z. Kuthanem nikt prawie w Polsce nie pisał. Zanim to nastąpi, trzeba mówić tylko o „Domach nad Garonną". Ma to tę dobrą stronę, że upadnie ewentualny zarzut o stosowanie jakiejś powierzchownej wpływologii...

„Domy nad Garonną" — to próba ukazania przeobrażeń społeczeństwa francuskiego poprzez pionowy niejako przekrój jednej z dzielnic, jednej z ulic, jednego z domów francuskiego miasta. Autor ukazując postaci i losy mieszkańców jednego domu w określonym odcinku czasowym (zaraz po zakończeniu wojny) kreśli charakterystykę ogólną, rysuje profil nowego zbiorowiska społecznego, opisuje budzenie się w coraz szerszych kręgach świadomości społecznej i politycznej, odsłania narastający ruch pokojowy, krzepnące siły ludowe, potężniejący wpływ partii rewolucyjnych. Jednostkowe losy ludzkie służą określeniu prawdy zbiorowej, prawdy ogólnej: klasa robotnicza zwiera swe szeregi, mętni liberałowie czy zużyci nihiliści gubią się w samotnej wędrówce, zamaskowani faszyści uchodzą w panicznym lęku przed karą, marnotrawni synowie klasy, która chcieli przeskoczyć, wracają drogą poznania głównych praw historii.

Mieszkańcy opisywanego przez Gamarrę domu nad Garonną: Paweł, Róża, Irena Reboulowie, ojciec Gourmandin, Jakub Ramon czy szewc Roig — to konkretni ludzie, komuniści, liberałowie, nihiliści, to jednocześnie wszakże typy, symbole, wskaźniki. Marcel — to otumaniony i potem naprawiający swój błąd młody chłopak, ale to jednocześnie postać — uogólnienie, uogólnienie problemu zatraconej i odzyskanej świadomości klasowej.

Wielką zasługą Gamarry jest to, że postaci jego powieści, będąc wskaźnikami przemian ogólnych, ani na chwilę nie przestają być konkretnymi ludźmi, ludźmi o indywidualnych losach, indywidualnych zamiłowaniach. Matka małego Juju chyli się stroskana nad chorym synkiem, szewc Roig czyta swoją melodramatyczną powieść w odcinku...

Dzięki prawdzie indywidualnych losów ludzi nad Garonną mocniej występuje ogólna prawda, prawda ludzi nad Renem, Tamizą, Dunajem, Wisłą, prawda walki o wolność, pokój i sprawiedliwość społeczną, prawda, brzmiąca zwycięskim optymizmem w ostatnich akordach opowieści Gamarry — bojownika.

Wzmocnił brzmienie tej prawdy Gamarra — artysta. Jest powieściopisarzem i poetą. Nuta rzetelnego liryzmu wzbogaca jego książkę. Jest powieściopisarzem i... filmowcem. Powieść jego jest jeszcze jednym dowodem wzajemnej nauki, jaką powieść daje filmowi a film powieści. Specjaliści mogliby na ten temat napisać ciekawe studium... Znowu można by nawiązać do Pratoliniego, w Polsce refleks podobnej koncepcji odnaleźć choćby w „Godzinie policyjnej" Waldorffa. Ale zostawmy to specjalistom!

Książce Gamarry oddajmy sprawiedliwość szacunkiem dla jej treści ideowej i kształtu artystycznego.

AMERYKA OD STRONY KUCHENNYCH SCHODÓW

Maria Leitner: Hotel „Ameryka", tł. z jęz. niem. Irena Pawłowska. Wyd. Książka i Wiedza, W-wa, 1952, str. 168.

Powieść Marii Leitner (niestety redaktor książki — Blanka Kościukowa — zrezygnowała z jakichkolwiek uwag wstępnych, które mogłyby nas poinformować o życiu, postawie i działalności młodej chyba i mało znanej pisarki), to powieść o tragicznej doli amerykańskich robotników hotelowych i o okropnym położeniu zdanych na samych siebie wychodźców, którzy uciekając przed nędzą w ojczyźnie — szukali poprawy bytu w „raju amerykańskim".

Rzecz dzieje się po wojnie na terenie jednego z olbrzymich hoteli-gigantów. Wybór terenu akcji umożliwił pisarce ukazanie zasadniczych odmienności bytu wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych. Parter i piwnice gmachu, gdzie mieszczą się mieszkania służby i miejsce ich pracy — to obraz warstw uciskanych. Wyższe piętra, połączone pionem luksusowych wind — to obraz warstwy uprzywilejowanej, bogacze, kapitaliści, królowie prasy, wiecznych piór czy spinek do krawatów.

Powieść (a może raczej duże opowiadanie) pisarki niemieckiej ukazuje wyraźnie niesprawiedliwości i okrucieństwo tego podziału. Życie eleganckich i cynicznych lokatorów kontrastuje mocno z życiem służby zapędzonej, sterroryzowanej ciągłym pośpiechem i groźbą utraty pracy. Charakterystyka obydwu światów, dokonana za pośrednictwem koniecznych zawężeń akcji jest plastyczna i jednoznaczna w swoim osądzie. Świat kapitalistów roi się od rozhisteryzowanych bab, cynicznych geszefciarzy, skomplekso-

sowanych neurasteników. Świat pracy rozwarstwia się na jeszcze drobniejsze grupy, różniące się między sobą stanem rozbudzenia świadomości społecznej i politycznej. Autorka jednak całą akcję swego utworu opiera na podstawowej sugestii, że proces konsolidowania, proces pogłębiania świadomości klasowej jest w stadium narastania, które wzmacniać musi się pod wpływem ostrych przeciwieństw świata kapitalistycznego.

Autorka zrobiła wiele, aby takie oświadczenie nie brzmiało deklaratywnie. Trochę filmowo i trochę kryminalnie skonstruowana akcja (szantażysta Fish, chcąc zdobyć forsę od króla prasy Stronga, grozi mu opublikowaniem listów, mających skompromitować jego córkę Marjorie, która właśnie wychodzi za mąż, wciąga więc do współpracy naiwną Shirley O'Brien, zbałamuconą obietnicą ślubu, wszystko jednak bierze w łeb wobec potęgi Stronga, utrzymującego całą armię sprytnych agentów), akcja żywa i barwna, z mocnymi akcentami sytuacyjnej satyry nie jest jednak pozbawiona uproszczeń, typów gotowych, założeń *a priori* rozstrzygających przebieg konfliktów. Jednak ostrożność sugestii końcowych świadczy o niechęci wobec prymitywizowania problematyki.

Całość jest więc próbą ciekawą i chyba udaną, zbogaca nowymi akcentami naszą wiedzę o tamtym świecie i o spojrzeniu młodej pisarki niemieckiej na tamten świat.

NIEEGZOTYCZNA ARGENTYNA

Raul Larra: Spotkanie nocą, tł. z jęz. hiszp. K. Zawanowski, wyd. Czytelnik, W-wa 1952, str. 103.

Wielu czytelników w Polsce pamięta tłumaczenie powieści wybitnego pisarza argentyńskiego Alfreda Vareli pt. „Ciemna rzeka". To była bardzo dobra powieść. Ukazywała nam tę inną, tę nieegzotyczną Argentynę krwi i wyzysku, zaciekłej walki plantatorów, walki o zysk, walki o pieniądz, walki, przeciwko której powstawał lud, walki, która musiała spowodować walkę o wyzwolenie człowieka.

Raul Larra jest kolegą Alfreda Vareli. Razem z nim założył związek młodych pisarzy rewolucyjnych Argentyny. Jak Alfred Varela, tak i Raul Larra bronił kultury argentyńskiej przed faszyzacją, siedział w więzieniu dyktatora Farelli, nie dawał za wygraną. Jego Argentyna to też nie ta egzotyczna Argentyna, nie Argentyna tzw. upojnych tang, lecz Argentyna prawdziwa, walcząca. Nawet gdyby nie mówił nam o tym wstęp (podziękować za to należy redaktorowi Małgorzacie Hołyńskiej), powiedziałaby o tym jego książka.

„Spotkanie nocą" jest zbiorem trzech opowiadań. Największe z nich (80 stron na 103) to opowiadanie tytułowe. Ukazuje nam ono klimat walki postępowych ludzi Argentyny, którzy otoczeni zdradą, śledzeni przez agentów, wtrącani do więzień czują więź między sobą, czują milczące poparcie mas, czują wreszcie bezsilność rozwścieczonych władz. Bohater opowiadania, zwolniony z długiego aresztu, czując sens prowadzonej walki, wiedząc, że „aby wyzwolić jednostkę trzeba przedtem wyzwolić masy", w ostatnim zdaniu nawet zmobilizowany wiarą pisarza ufny i radosny, trzymając pod pachą węzełek, począł iść ku miastu".

Dwa pozostałe opowiadania tomiku („Nazi" oraz „Śmierć kacyka") są w całościowej kompozycji zbiorku jak gdyby — nie kolidującym przecież wcale z twórczym optymizmem — nakazem czujności. Jedno opowiadanie ukazuje przyczajone jeszcze i marzące o nowej wojnie siły rozgromionego faszyzmu hitlerowskiego, drugie maluje postać prowincjonalnego kacyka, który w oparciu o pieniądz terroryzował opinię publiczną.

Mimo fragmentaryczności wszystkich opowiadań (nawet opowiadania tytułowego), dają one wyraz przekonaniom postępowych sił Argentyny, przekonaniu o nadchodzącym dniu sprawiedliwości, o nadchodzących dniach ostatecznego wyzwolenia.

Siłę wyrazu w opowiadaniach argentyńskiego pisarza wzmacnia jego dojrzałość artystyczna. Raul Larra umie pisać. Zdolność komponowania obrazów, wielka plastyka opisu, zwięzłość charakterystyk, umiejętność łączenia w ramach jednej akcji, czy (jak w opowiadaniu tytułowym) w ramach jednego monologu wewnętrznego spraw najbardziej osobistych ze sprawami ogólnonarodowymi, przekonująca technika łączenia komentarza odautorskiego z wymową samych sytuacji (jak np. w opowiadaniu „Nazi"), wreszcie odwaga we wprowadzeniu pierwiastka specyficznego humoru do sytuacji niemal makabrycznych, co daje w efekcie wrażenie głębokiej groteski (jak np w „Śmierci kacyka") — to walory, które budzą niemal żal, że dano nam tylko szczupły tomik opowiadań, a nie któreś z jego pięciu powieści. Żal ten jest, oczywiście, pochwałą.

ROSE FRANCE

Jean Lafitte: Dziewczyna walczy, tł. z jęz. franc. Róża Czekańska-Heymanowa, wyd. Czytelnik, W-wa 1952, str. 287.

Nowa powieść Jean Lafitte'a nie jest pierwszą powieścią tego pisarza, ofiarowaną czytelnikowi polskiemu. Już wcześniej mogliśmy się zapoznać z dwiema innymi książkami tego autora. Jedna to „Milczące maszty", druga — „Żołnierze Wolnej Francji". I pierwsze dwie, i trzecia książka Lafitte'a są próbą zbeletryzowanej opowieści o francuskim Ruchu Oporu. Autor „Milczących masztów" w czasie ostatniej wojny nie złożył broni. Walczył w roku 1939, siedział w więzieniu w roku 1940, uciekł, stanął w szeregach kombatantów, w roku 1942 znowu trafia do więzienia, z więzienia w r. 1943 wywożą go do Mauthausen, potem do Ebensee, w obozie staje na czele Międzynarodowego Komitetu Więźniów. Po wyzwoleniu jest jednym z aktywniejszych działaczy Ruchu Pokoju. Przed wojną był żywym uczestnikiem Dni Lutowych w 1934 r. Ta postawa konsekwentnego bojownika uwierzytelnia jego utwory literackie, podnosząc ich znaczenie do rangi artystycznych dokumentów walki o wolność, pokój i postęp.

Trzecia z kolei powieść Jean Lafitte'a przetłumaczona na język polski i rozpowszechniana już w drugim wydaniu opowiada o udziale kobiet francuskich w podziemnej walce z okupantem hitlerowskim. Maria Vernon, bohaterka powieści, występująca w szeregach kombatanckich pod pseudonimem Rose France (taki jest tytuł oryginału) ma być uosobieniem francuskiej bojowniczki, stającej do walki w jednym rzędzie z mężczyznami, co więcej: odgrywającej w tej walce jedną z kierowniczych ról. Nie jest wyjątkiem. Autor pokazuje także i jej współtowarzyszki.

Książka ta, jak i poprzednie, jest przede wszystkim artystycznym dokumentem walki podziemia francuskiego w latach 1941-42. Zawiera wiele materiału rzeczowego, pozwalającego wzbogacić naszą wiedzę o tamtym kraju w dniach trudnego dążenia do wolności.

Oczywiście, „Dziewczyna walczy" jest jednocześnie utworem literackim. Ludzie w niej przedstawieni ukazują się nam w konkretnym, zindywidualizowanym złożeniu swoich lo-

sów. Autor potrafi uczynić ich w równej mierze postaciami historycznymi i ... żywymi. Nawet śmierć ich jest prawdziwa. Za jej prawdziwością — staje wymowa dokumentu. Gdy mąż Marii Vernon, Bernard, przesyła jej z więzienia ostatni list przed rozstrzelaniem, Jean Lafitte nie waha się podsunąć mu autentycznego listu swego przyjaciela Maurice Lacazette'a rozstrzelanego w sierpniu 1943 roku (tekst tego listu znajduje się na str. 117 w „Listach rozstrzelanych". Sp. Wyd. Książka, W-wa 1949, tł. z jęz. franc. Maria Wisłowska. O tej książce trudno pisać, jej bolesne piękno porusza do głębi, ale nie da się przetłumaczyć na słowa).

Trzeba jednak zwrócić uwagę, że postać Marii Vernon jest miejscami nieprawdziwa. Jej walka z przełamaniem nawyków inteligenckich w pracy z dokerami — to ważny problem. Autor rozwiązuje go tylko konstatacją: po pierwszych niepowodzeniach — sukces. Ale my byśmy chcieli wiedzieć, jak to się stało? I pisarz jest zobowiązany pokazać nam to jak. Podobnie sprawa Maria — Bernard niepokoi swoją łatwością zawęzłeń. Ale inne postaci są dowodem, że Lafitte potrafi ujrzeć człowieka w jego złożoności i odrębności. Potrafi ukazać, że osobista walka o szczęście właściwie pojęte musi być walką o wolność, pokój, sprawiedliwość.

Dlatego na dalszy ciąg opowieści o Rose France, nad czym autor obecnie pracuje, czekamy z zainteresowaniem.

*

Odkładając na bok omawiane tu informacyjnie książki Marii Leitner, Raula Larry, Pierre Gamarry i Jean Lafitte'a warto zwrócić uwagę na ich cechy wspólne, które — występując w różnym natężeniu i różnych konfiguracjach wewnętrznych — świadczą o mniej więcej jednakowym duchu, ożywiającym postępowych pisarzy zachodnich.

Każda z tych książek jest przesiąknięta ambicją służenia konkretnym ideom społecznym. Każda ukazuje narastanie lub krystalizowanie się świadomości społecznej mas. Każda wreszcie jest artystycznym manifestem wiary w zwycięstwo słusznej sprawy. Jeśli się zważy, że wszystkie te książki powstawały w społeczeństwach szarpanych jeszcze ciągle przecznościami ustroju kapitalistycznego, jeśli się pamięta, że autorzy tych książek żyją w krajach, faszyzujących się z dnia na dzień i inwigilowanych przez interwentów amerykańskich — to wspólnota ich głównego kierunku ideowego nabiera szczególnie wyrazistego i szczególnie zwycięskiego znaczenia.

Książki te jednocześnie ukazują walkę o artystyczną godność literatury postępowej. Zdolność humanistycznego wiązania losów idei z konkretnymi losami osobowości, umiejętność przejrzystego i odkrywczego konstruowania wypowiedzi artystycznej, odwaga w sięganiu po coraz to nowe środki wyrazu — to cechy wspólne, wskazujące, że walka o prawidłowość ideologiczną dzieła wiąże się tam nierozerwalnie z troską o jego jakość artystyczną.

Zygmunt Lichniak

Podaje się do wiadomości prenumeratorów, że począwszy od dnia 16 lutego br. prenumeratę należy zamawiać tylko w placówce pocztowej właściwego rejonu doręczeń, na terenie którego zamieszkuje prenumerator — odbiorca.

FILM

DROGA NADZIEI

„Droga Nadziei" — film prod. włoskiej, scenariusz: Federico Fellini, Pietro Germi i Tulio Pinelli. Reżyseria: Pietro Germi. Zdjęcia: Leonido Barboni. Muzyka: Carlo Ructichelli. Wykonawcy: Elena Varzi, Raf Vallone, F. Navarra, Saro Urci, L. Lattanzi, M. Ciotti, rok produkcji 1951.

Caesare Zavattini — włoski pisarz i scenarzysta pytany o to, jakie są najistotniejsze czynniki wpływające na rozkwit powojennej kinematografii włoskiej — odpowiedział: *„Mamy utalentowanych twórców filmowych, ale tych jest wielu*

na całym świecie. Sądzę, że nasi najwięksi artyści zawdzięczają swoje sukcesy nie tylko talentowi, ale temu, że podporządkowują swoją sztukę korekcie rzeczywistości, szukają tematów na ludnych gościńcach, na gwarnych ulicach wielkich miast i małych miasteczek, w bujnym życiu tzw. szarych ludzi".

Pietro Germi znalazł temat do swojej **Drogi Nadziei** prawie dosłownie na ludnym gościńcu. Pracując nad filmem **Pod niebem Sycylii**, zwrócił uwagę na jadącą w głąb kraju grupę ludzi, wiozących ze sobą cały swój biedny dobytek. Byli to bezrobotni usiłujący przedostać się do Francji. W parę tygodni po tym spotkaniu Germi dowiedział się, że w Rzymie zatrzymano oszusta, który przywiózł do stolicy grupę Sycylijczyków, wyłudził od nich poprzednio wszystkie oszczędności, obiecując przeprowadzić ich do Francji i usiłował zbiec, zostawiając bezdomnych nędzarzy na rzymskim dworcu.

Był to okres, kiedy nielegalna emigracja włoskich bezrobotnych do Francji była zjawiskiem typowym. Różni agenci, otrzymujący prowizję od francuskich przedsiębiorców, werbowali robotników w najbiedniejszych dzielnicach Włoch. Sycylia — kraj wielkich majątków, zamykanych po wojnie prymitywnych kopalń—była jednym z głównych terenów takiego werbunku, bowiem niezorganizowani, pozbawieni pracy robotnicy dawali się łatwo skusić nadzieją pracy we Francji. Robotnicy ci byli tym chętniej przyjmowani po za granicami Włoch, że zgadzali się na najgorzej płatną i najcięższą pracę, nie podlegali żadnym ubezpieczeniom ani ustawom o ochronie pracy, stawali się bezbronnymi niewolnikami wielkich właścicieli kopalń.

Podyktowana przez życie historia stała się podstawą fabuły filmu. Scenarzyści związali opowiadanie o dramatycznej wędrówce bezrobotnych ze świetnie prowadzoną historią losu poszczególnych bohaterów, podbudowując główny wątek filmu, zwięzłymi epizodami pokazującymi niepowtarzalne, przeżycia jednostkowe. Umiejętność wyrażenia zbiorowej tragedii przez szereg osobistych, małych i wielkich dramatów, zbliżenie postaci bohaterów, zindywidualizowanie ludzkich przeżyć nadają filmowi atmosferę prawdy psychologicznej.

Jeden z takich osobistych wątków wysunięty został w filmie na pierwszy plan: historia Saro, Barbary i Vanniego. Doskonale związany z zasadniczą akcją przez cały czas filmu, pod koniec dopiero wyodrębnia się w samodzielną sprawę i to wyodrębnienie załamuje jakby jednolitą, jasną koncepcję i kompozycję całości. Załamanie to zresztą jest w dużej mierze świadomym chwytem twórców filmu, którzy akcentując sensacyjny „happy end" miłości Saro i Barbary pragnęli rozładować atmosferę beznadziejności rozwiązania głównego wątku filmu.

Cały finał stanowi, wydaje się, próbę sztucznej ucieczki przed całkowitym pesymizmem. Przekroczenie granicy zamyka akcję niby pozornym sukcesem wędrujących nędzarzy. Gdyby historia grupy emigrantów była jakąś fikcją fabularną, nie miała cech prawdy politycznej i społecznej, można by akcję filmu traktować jako pewną zamkniętą całość i zajmować się tylko samą szczęśliwie zakończoną fabułą: grupa ludzi chce przekroczyć granicę, po szeregu dramatycznych przygód osiąga swój cel — finał więc jest szczęśliwy.

Autorzy scenariusza pokazując prawdziwą historię osadzoną w realistycznym tle polityczno-społecznym wiedzieli, że rozwiązanie zamkniętej w filmie historii ma—mimo pozorów sukcesu emigrujących nędzarzy — wymowę pesymistyczną. Chociaż film kończy się w chwili przekroczenia granicy, komentator pozostawia widzowi odpowiedź na pytanie, co stanie się dalej z bohaterami filmu. A odpowiedź tę, tak jak cały film dyktuje życie.

Reżyser potraktował scenariusz z surową prostotą, stosując metodę jakby reportażowej relacji, wprowadzając ton kronikarskiej zwięzłości. Świadomie pokazał tę swoistą pielgrzymkę głodową jakby z pozycji jednego ze swoich bohaterów, narzucając wrażenie, że wszystkie etapy dramatycznej wędrówki były filmowane bezpośrednio w czasie jej trwania.

Tak jak w pierwszych scenach filmu, w chwili kiedy grupa ludzi zjeżdża w głąb kopalni zjeżdżamy razem z nimi — i na ekranie widać ciemną plamę, mrok prymitywnej windy, tak samo przez cały czas filmu widzimy wszystkie zjawiska razem z podróżującymi emigrantami. Zostawiamy ich miasteczko, patrzymy z okien pociągu na zmieniający się krajobraz, tracimy z oczu Antonia i zagubioną w Rzymie jego żonę, opuszczamy tych, którzy zdecydowali się wrócić na Sycylię, przeżywamy ich małe radości, wielki niepokój, zmęczenie — odczuwamy tragizm ich upartej nadziei.

Umiejętność stworzenia w najpełniejszym tego słowa znaczeniu klimatu autentyzmu jest wielkim artystycznym osiągnięciem realizatorów. Składają się na tę atmosferę niezliczone trafnie wydobyte szczegóły tła, czasu, miejsca, celność akcentowania drobnych, pozornie małych spraw ludzkich, styl gry całego zespołu aktorskiego.

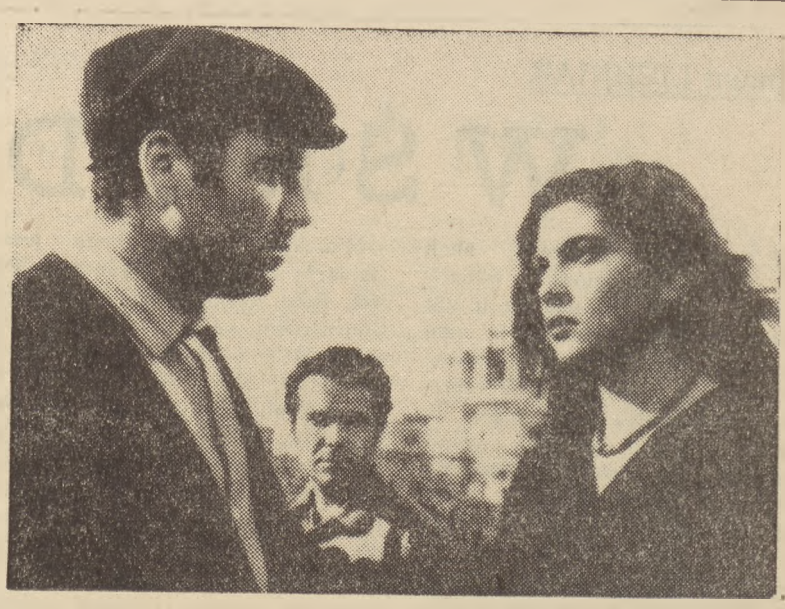

Bohaterowie **Drogi nadziei** są jak najbardziej zwykli. W czasie swojej ciężkiej wędrówki cieszą się każdym pogodniejszym momentem. Są bliscy przez to, że pokazano ich bez żadnej patetycznej stylizacji. Wprowadzenie do filmu elementów humoru, akcentów pogodnych —to nie tylko chwyt dramaturgiczny, operowanie tzw. zwrotami, ale przede wszystkim metoda zbliżenia psychologicznego postaci filmu. Ileż jest prawdy w podkreślaniu dążenia do radości nawet w najcięższych warunkach, w pokazaniu osobistych, wydawałoby się nieważnych spraw w ciągłym podkreślaniu, że bohaterowie filmu, to zwykli, dobrzy, pogodni ludzie.

Talent reżysera i operatora widać w łatwości operowania czysto filmowymi środkami wyrazu. Bohaterowie filmu nie mówią o sobie, charakteryzowani są jak najbardziej bezpośrednio zachowaniem, działaniem, małymi wymownymi epizodami. Przemawia ich smutna sycylijska piosenka, przemawiają szczegóły krajobrazu, żar słońca, kurz drogi, gest dziecka sięgającego po kłos zboża i cieszącego się urodzajnym bogactwem wielkich pól.

Film jest doskonałym artystycznym dokumentem ludzkiej niedoli. Pięknym i humanistycznym — ale niedopowiedzianym. Germi potrafił wzruszyć krzywdą swoich bohaterów, ale nie umiał skierować oskarżenia i pokazać przyczyn krzywdy. Film jest pesymistyczny nie dlatego, że pokazuje ludzi odbywających drogę nadziei, które muszą skończyć się rozczarowaniem, ludzi nie umiejących walczyć o swoje prawo do życia i pracy, nie widzących żadnej prawdziwej drogi nadziei, ale dlatego, że autor filmu pokazując ich los także nie widzi dla swoich bohaterów żadnego wyjścia z ich beznadziejnej sytuacji.

Stąd najsłabszą częścią filmu jest zakończenie zamykające całość akcentem bezwyjściowości i wielkim reżyserskim znakiem zapytania.

Leszcz

Zdjęcia „Film Polski".

Wielkie pytania katolicyzmu hiszpańskiego

(Dokończenie ze str. 5)

żowcom" — „Les grands cimetières sous la lune"; ani paryskiego tygodnika „Sept" pozostającego pod patronatem wybitnego tomisty francuskiego, Etienne Gilsona; ani nawet — w pewnym okresie — Franciszka Mauriac. Miesięcznik „Esprit" artykułem Emanuela Mounier opowiada się nie tylko przeciw Franco, ale również wyraźnie po stronie republiki. *„Ze strony zbuntowanej* — analizuje Mounier — *mamy nieuchronny krok w tył, zgniecenie narodu i jego kultury wraz z pozornym szacunkiem dla pierwiastka duchowego. Po stronie rządowej wielkie ryzyko, ale poważne możliwości przeszczepienia pewnego dnia naszych pragnień"* „Esprit" udziela swoich łamów hiszpańskim katolikom — republikaninowi Jose Semprun y Gurrea oraz Alfredowi Mendizabal, którzy demaskują fałsz „krucjaty".

Nie pozostaje w milczeniu również Jacques Maritain, ten czołowy reprezentant europejskiej myśli tomistycznej, którego za bezkompromisowe stanowisko w sprawie hiszpańskiej Serrano Suner ogłosił „wrogiem numer jeden" frankizmu. W przedmowie do książki Mendizabala „Aux origines d'une tragedie" pisze:

„Od ludzi, którzy gorszą się, że wojny ich nie uważa się za świętą, otrzymałem listy z obelgami. Nie zależy mi na nich. Jest obrazą uczuć religijnych stroić żołnierzy muzułmańskich w obrazki Serca Jezusowego po to, by zabijali synów chrześcijan. Jest świętokradztwem rozstrzeliwanie — jak to miało miejsce w Badajoz — setek ludzi świętujących dzień Wniebowzięcia a bo niszczenie bombami lotniczymi — jak w Durango — kościołów wraz z ludźmi, którzy je wypełniali i kapłanami, którzy odprawiali Mszę św.; świętokradztwem jest bombardowanie — jak to było w Guernica — całego miasta z jego kościołami i świętymi przybytkami i koszenie z karabinów maszynowych nieszczęśliwych, uciekających ludzi. Wojna święta gwałtowniej niż niewiernych nienawidzi wierzących, którzy jej nie chcą służyć.

Powoli gromadzą się dowody białego terroru, a to, co dotychczas o nim wiemy, pozwala przypuszczać, że osiąga on szczytowy stopień okrucieństwa i pogardy dla osoby ludzkiej. Ale cóż! Dokonuje się on przecież w imię świętej wojny, pod znakami i chorągwiami religii; krzyż Jezusa Chrystusa błyszczy jak symbol wojny nad agonią rozstrzeliwanych. Człowiek, który wierzy w Boga, wie, że nie można sobie wyobrazić bardziej ponurego paradoksu niż ten, że kości Chrystusa, których na Górze Kalwarii nie tknęli nawet oprawcy, złamali na krzyżu sami chrześcijanie".

„Wojna święta gwałtowniej niż niewiernych nienawidzi wierzących, którzy jej nie chcą służyć"... O głębokiej prawdziwości tych słów mogli się przekonać ci katolicy hiszpańscy, którzy stanęli po stronie republiki i którzy stali się ofiarami terroru frankistowskiego. Tak stało się z katolickim ludem Basków, który bronił sprawy republiki, broniąc tym samym własnych praw społecznych i narodowościowych. Frankiści zamknęli w areszcie domowym, a następnie zmusili do opuszczenia diecezji trzymającego stronę swego ludu ordynariusza Vitorii, biskupa Matteo Mugica. Z księży baskijskich, którzy nie przyłączyli się do „krucjaty" i przeciwstawili się jej, frankiści rozstrzelali 16, zaś 450 (w tym 130 zakonnych: franciszkanów, jezuitów, kapucynów, karmelitów bosych itd.) skazali na więzienie i wygnanie lub też złożyli z urzędu.

OWOCE HISZPAŃSKIEJ „KRUCJATY"

NA gruzach hiszpańskiej wojny domowej, w lejach wyrwanych z ziemi pociskami poświęconych armat, nie zakwitła Ewangelia. Nie zakwitła, bo zakwitnąć nie mogła. Gdyby oręż miał być narzędziem rozszerzania Królestwa Bożego, Chrystus nie powoływałby nadprzyrodzonego Kościoła, w którym pozostał z ludzkością po wsze czasy, ale przyjąłby zapewne koronę ziemskiego cezara. Hekatomba półtora miliona ofiar wojny domowej przyniosła faszyzmowi hiszpańskiemu upragnioną władzę, ale nie przyniosła cienia chwały katolicyzmowi. Polityka frankistowska, wzmacniając się cynicznym eksploatowaniem życia religijnego, zarazem zubożyła je, zatruła i wyjałowiła. Salwy błogosławionych przez biskupa Gomarę armat nie tylko rozdzierały ciała wierzących, one zabijały w nich również wiarę. Jeden z tych księży hiszpańskich z katalońskiego „Paraula Cristiana", którzy zachowali zdolność dalekowzrocznego spojrzenia w przyszłość, wyjeżdżając w początkach wojny domowej z Hiszpanii miał oświadczyć: „Anarchiści palili kościoły — katolicy spalili Kościół!" Spalili go pod pozorami obrony przed tymi, których profanacje w małej części mogły się mierzyć z świętokradczą profanacją, dokonaną dłońmi jego wyznawców i pomazańców. O ile Kościół za monarchii stawał się dla wielu obcy przez swoją uległość polityce i interesom ekonomicznym, o tyle bluźniercza „krucjata" proklamowana przez Franco mogła zachwiać wiarą tych pozostałych. Bóg jeden wie, ilu spośród nich odpowiedziało sobie jak ów żołnierz Brygady Międzynarodowej z opowieści Pruszyńskiego, który zapytany po wzięciu w niewolę czy wierzy, odparł: *„Wierzę, ale jak ra różaniec patrzę i jak matkę wspomnę, ale jak takiego księdza z Coltem u sutanny widzę, to już nie wierzę w nic".*

W latach po drugiej wojnie światowej arcybiskup Walencji Olaechea przeprowadził w swojej diecezji ankietę, której celem miało być m.in. poznanie oblicza religijnego ludności robotniczej. Wyniki tej ankiety były wstrząsające. Ujawniły one postępujący proces dechrystianizacji proletariatu hiszpańskiego. Ujawniły, że pogrążone w nędzy masy robotnicze uważają Kościół za jedną z podpór systemu ucisku i z tego tytułu nienawidzą go. *Robotnik* — stwierdza arcybiskup Olaechea w swoim sprawozdaniu z ankiety, które pokrywa się w tym punkcie z wynikami badań w innych diecezjach Hiszpanii — nie wierzy już w nic *„nie ma żadnej religii..."*

Niegdyś, jeszcze za lat republiki, Miguel de Unamuno widział na murach Salamanki niewprawną ręką dokonany, czerwony napis minią: „Religia jest farsą". Te słowa poruszyły go i skłoniły do rozmyślań. *Religia policyjna* — napisze w swoich notatkach — *która nie zamierza być ukojeniem dla wszystkich — dobrych i złych, ale gwarantem i podporą zabezpieczającą ustrój cywilny, społeczny, polityczny i sądowy królestwa — albo republiki — z tego świata, o tej religii sądzi biedny, zamęczony przez nędzę tego świata lud, że jest ona farsą".*

Dziś — po błogosławionej „krucjacie" — słowa, które wtedy zaniepokoiły Unamuno pojawiają się w Hiszpanii już nie w pojedynczym napisie, ale mnożą się i zwielokrotniają w niepoliczonym chórze głosów. Nie są już zewnętrznym znakiem na murze, ale zapadły i ukryły się jako rzeczywistość w głębinach serc. Jakaż siła potrafi nadrobić zło, zasiane w duszach ludzkich przez grzechy przeszłości? Jaką drogą można wyprowadzić katolicyzm hiszpański z matni, w którą wprowadziła go ślepa bezmyślność jednych i cyniczne zakłamanie drugich? Oto wielkie pytania, na które katolicy hiszpańscy muszą dać odpowiedź. Pytania, które wymagają od nich wielkiej przenikliwości i wielkiej odwagi.

Janusz Zabłocki

POPIERAJCIE

KATOLICKI UNIWERSYTET LUBELSKI

Tadeusz NUCKOWSKI

TRUDNY OPTYMIZM

TOMIK poetycki Jerzego Hordyńskiego *) składa się wyraźnie (choć nie zaznaczono tego graficznie) z trzech części, jakby cyklów spiętych ramowo wierszem wstępnym i finalnym. Tytułowy „Powrót do światła" to wstęp. Cykl pierwszy stanowią utwory, których tematem jest sztuka, a właściwie — z wyjątkiem wiersza „Muzom w czas wojny" — Chopin i muzyka (str. 7 — 17); cykl drugi nazwałbym „egotyczny" (str. 18 — 24); cykl trzeci — „społeczny" (str. 25 — 44); zamknięciem całego zbiorku jest „Dla mojej lutni życzenie".

Celowość artystyczna takiego układu każe przypuszczać, że jest on przemyślanym zamierzeniem autora, który uświadomił sobie — na podstawie swego dorobku poetyckiego — napięcia rozwojowe własnej twórczości. Tak też — sądzę — powinniśmy tomik odczytać, traktując go jako zwartą, dynamicznie wymowną całość. Na pierwszy rzut oka byłoby się skłonnym dyskutować, czy nie należało przerzucić cyklu egotycznego przed muzyczny, ale zaraz konstatujemy, że powstałby zbyt duży dysonans między dramatycznym patosem wstępnego „Powrotu do światła" a pierwszym utworem „Tryptyku jesiennego". A więc aprobujemy układ autorski tym bardziej, że cykl muzyczny — ze względu na specjalnie ważną w ujęciu autora rolę sztuki w życiu — stanowi strukturalnie jakby odrębną całość, choć problematycznie wiąże się z pozostałymi dwoma, wynikowo uzupełniającymi się zespołami.

Poezja Hordyńskiego — jest to niewątpliwie poezja optymizmu, ale optymizmu niełatwego, zdobytego w trudzie zmagania się z pasywnymi przejawami własnej osobowości, z okrutnym czasem wojny, śmierci i poniewierania człowieka, niedoli emigracyjnej, aby poprzez upragniony powrót do kraju i odradzające odnalezienie w nim własnego dzieciństwa zdobyć nową, pozytywną treść: solidarność z innymi ludźmi i ze społecznością. A w tym wszystkim towarzyszy poecie różnie zabarwiony (zależnie od okoliczności) entuzjazm dla sztuki i świadomość jej roli społecznej.

Przypatrzmy się główniejszym etapom tej drogi.

Cykl egotyczny — wiążący się chronologicznie jeszcze z okresem przedwojennym („Tryptyk jesienny I"), a przeważnie wojennym — ogranicza się jeszcze do ciasnych stosunkowo przeżyć osobistych: czy to będzie żal za przeminionym bezpowrotnie dzieciństwem, wśród „twardego i nazbyt męskiego wieku" (** „Nie wróci czas mój...") czy nabrzmiały niepokojem katastroficznym spleen młodzieńczy („Tryptyk jesienny I"), ucieczka od męczącej codzienności w kraj twórczej fantazji („Kwitnienie nowiu"), czy wreszcie prosta „Piosenka" odchodzącego kochanka.

Ale już w trzecim utworze „Tryptyku jesiennego" — „Na wzgórzu pierwszy ślad dębiny zaszeleścił"... dostrzegamy zapowiedź przyszłych przemian. Pojawiają się — dalekie jeszcze — sprawy innych ludzi oraz poczucie własnej funkcji i wartości społecznej:

„Nie w nas jeszcze pieśni, tyle jesteśmy warci..."

Cierpienia wojenne i emigracyjna „gorycz niepowrotu" („Witając epokę") a potem powrót do kraju zbliżają coraz bardziej do ludzi:

„Chodzę po nowej ziemi bliższy ludziom
droższy pogodnej fladze co nade mną szumi.
I uczę się powoli własnego przyjazdu
w obcym, lecz moim tłumie."
(„Na powrót do kraju")

W Katowicach (a więc — inaczej niż w cyklu poprzednim — w konkretnie już zanotowanym miejscu na ziemi ojczystej) odnajdzie poeta wspomnienie własnego dzieciństwa:

„...byłem tu kiedyś małym śmiesznym chłopcem
Ale rozumiem dziewczynę, gdy pieści
Chleb, niosąc braciom obiad i pieśń,
Jak mnie szukającego dzieciństwa
proste dzieje tej ziemi i wiersze."
(„Katowice")

I znów notujemy różnicę: między wspomnieniem dzieciństwa i stwierdzeniem jego niepowrotności z wiersza ** „Nie wróci czas mój zbiegły" a ujęciem z zacytowanego fragmentu. Tutaj oczy i uczucia otwarte szeroko, po ludzku. Co więcej, własne dzieciństwo odnajduje się w obecnie wzrastających dzieciach („Matce").

Inny obraz dzieci:

„Dzieci zwiastują pogodę — tupot
maleńkich nóżek
już przekroczył okrutny czas.
I oto nowe dzieje — z własnych
ostatnich podróży
do krematoriów i gwiazd.
(„Powrót do światła")

To zestawienie z wiersza wstępnego jest wyznaniem wiary Hordyńskiego w nadejście epoki, kiedy nastaną „czasy bez broni" („Elegia Oświęcimska"). Wiara ta nabiera żarliwości manifestu w trzech ostatnich strofach wiersza „O delegatach ze Światowego Kongresu Pokoju w Oświęcimiu".

Atmosfera wojny, obozów koncentracyjnych i krematoriów na każdym kroku stykała człowieka twarzą w twarz ze śmiercią i to śmiercią gwałtowną, okrutną — często śmiercią osób najbliższych („Powrót do światła"), ale również i bezimiennych bliźnich, którzy padali za wspólną sprawę spokojnego życia („Matce"). Pamiątki kaźni oświęcimskiej mają być groźnym memento dla ludzkości i wskazywać jej drogę właściwą. Narodowi męczennicy i bohaterowie patronują teraz pracom i mozołom żywych, obcują z nimi niejako:

„Ty jesteś w nierealnym grobie,
w umieczonym, lubelskim powietrzu
wiedz, że dzień każdy pomnaża pamięć
o tobie
w szkole, budowie, [illegible]"
(„Powrót do światła")

„Życie ze śmiercią się rodzi, lat
wypłowiałych zakładka
nie gródź żywych i umarłych.
W cierpliwym niech rośnie mozole
dzieje wyrwane klęskom..."
(„Matce")

Zaznacza się w wierszach omawianego zbioru rozbudowana perspektywa czasowa: przeszłość — teraźniejszość — przyszłość. Wzajemne ustosunkowanie się tych elementów jest różne i ulega rozbudowie raczej w utworach etapu późniejszego. Różny jest też stosunek autora do nich. Oczywiście, negatywny do okrutnych spraw wojny, czy będzie ona traktowana jako teraźniejszość, jako przeszłość, czy — wyjątkowo przeczuwana niejasno przyszłość („Tryptyk jesienny I"). Zawsze pozytywny do własnego dzieciństwa, choć widzianego w różnych aspektach (o czym już mówiliśmy). Przyszłość (jeśli eliminujemy przedwojenny „Tryptyk jesienny I") zawsze rysuje się jasną perspektywą pokoju i twórczej pracy, a wobec praw jej „dialektyki' nie należy wracać do przezwyciężonych etapów rozwojowych:

„...do gwiazd nie wracaj słowami
nie naszych dni."
(„O szczęściu")

Że Hordyński sztuce wyznacza w życiu wyjątkową rolę, sygnalizuje już fakt, iż — jakeśmy to wyżej zauważyli — utwory tej tematyce poświęcone wydzielił w osobny cykl. (Jeden tylko wiersz z tego zakresu, „Słuchając koncertu Chaczaturiana", zawędrował — zapewne przez swą bliską więź nastrojową z rozbudową kraju — do zespołu „społecznego"). Ale szukajmy głębszych uzasadnień w materiale literackim. Prawda, że jest i prawie czysto poetycka interpretacja muzyki („Chopin: Etiuda As-dur opus 25"), lecz poddawanie się żywemu urokowi muzyki Chopina pozwoli na stwierdzenie jej niepożytej aktualności zarówno w wymiarze przeżyć indywidualnych („i nie wiesz nawet, w ilu sercach trwasz — twych romantycznych wnuków"; „Na Père-Lachaise"), ale i zbiorowych („Warszawie"). Sztuka jest najściślej zjednoczona z życiem. Z jednej strony jest jego wyrazem, z drugiej znów — mobilizującym je motorem. Najpełniej chyba wyraża tę omalże Norwidowską prawdę bardzo reprezentatywny w tym cyklu „Chopin".

Wybijająca się w ośmiu końcowych wierszach optymistyczna wiara w nadchodzącą, etycznie pozytywną strukturę ludzkości, wiara wyznaczająca w jej kształtowaniu poczesne miejsce wielkiej sztuce — stanowi też mocny finał końcowy utworu tego zespołu tematycznego („Muzom w czas wojny"):

„Wiem, że kiedyś wrócicie zastygnąć
w pomniki,
groźną chwałą zawisnąć nad sercem
i miastem.
I tłum zapomni mowy — zamilkną
okrzyki,
kiedy wszystkie cokoły będą Wam
za ciasne."

Słusznie stwierdzano, że z omawianego tomu „wyłania się pełny człowiek". Ale nie tylko to. Dynamika i perspektywa artystyczna dozwalają nam stwierdzić naocznie, jak w przezwyciężaniu trudów i cierpień z egocentrycznej „poczwarki" rodził się pełny, o optymistycznie jasnym spojrzeniu i otwartym sercu — człowiek społeczny.

Dodajmy do tego, że — jak już także zauważyli inni — poetyka Hordyńskiego jest sprawna. Narzędzia artystyczne funkcjonują prawidłowo. Nie posiadają wprawdzie siły obiegowe już niemal środki wyrazowe („muza miłości", „pusty los", „mój okręt w kraj nieznany popłynął" itp.), jak również zawodzi zbytnie przeintelektualizowanie skojarzeń („Na rozstanie"). Ale zapalają wyobraźnię zdecydowane metafory (to nic, że kojarzymy je z wybitniejszymi osiągnięciami awangardy: „jednym gestem unosząc tęsknotę i ziemię", „na krematorium łuk ciszy"), czy pełne artystycznej prostoty konstatacje liryczne („dziewczyna do spółdzielni poszła po mleka dzbanek — i znaczki z gołębiem"). Nawet styl dziennikarskiej odezwy spełnia swoją funkcję („O delegatach ze Światowego Kongresu Pokoju w Oświęcimiu" — strofy 6 i 7); jest on dozowany oszczędnie i dyskretnie.

Sumując to wszystko, stwierdzamy, że „Powrót do światła" można zaliczyć do ciekawszych tomików poezji wydanych w cieszącej się już sporą sympatią serii „Czytelnika".

Tadeusz Nuckowski

*) [illegible] Powrót do światła. „Czytelnik" 1951. str. 48.

Dziennik żołnierzy francuskich

Dokończenie ze str. 6

pozostałej mi jeszcze resztki ufności do prawości kolegów i do ich władz umysłowych.

— Słuchajcie, chłopcy, tu musi być nieporozumienie: jeśli jakiś kraj jest okupowany przez faszystowskie mocarstwo, które wywozi ludzi, zabija, pali wsie, czyż nie trzeba prowadzić wojny?

Powtórnie zaciągnięty wachmistrz, który wrócił z Indochin, wysłuchał wszystkiego uważnie; odpowiada bardzo spokojnie:

— Trzeba dalej walczyć, trzeba prowadzić wojnę, ale przecież wojny prowadzą armie regularne.

— A jeśli armia regularna skapitulowała?

— W takim wypadku trzeba przyjąć porządek narzucony przez zwycięzcę. Inaczej jest się rewolucjonistą.

G. odkłada swą wylizaną miskę, przygląda mi się z zainteresowaniem — bawi go mój nieco zdumiony wygląd. Uderza mnie silnie w piecy ryczące:

— Co na to powiesz, synku? Fajna armia, która potrafi fabrykować chłopców zdolnych do wystąpienia z podobną draką.

Robi tępą minę i kończy:

— A mówiłem ci, że Marszałek miał rację.

Po czym odchodzi wielkimi krokami, mrucząc:

— Nom de Dieu... czego ja przyszedłem szukać wśród bandy tych...

Nie usłyszałem końca zdania.

Szkoła Oficerów Rezerwy w K.
9 listopada.

— Co zrobiłbyś, gdyby w razie strajku zmobilizowali cię do zaprowadzenia porządku?

Od rana widzę już trzecią grupkę biedzącą się nad odpowiedzią na to pytanie. Dowiedzieliśmy się przez radio, że górnicy przystąpili do strajku. Czy zostaniemy użyci? Czy posłuchamy rozkazu?

Dla większości nie jest to żaden problem. Jest to zupełnie oczywiste: studenci pochodzą z mieszczańskich środowisk, których charakterystyczną cechą jest nieznajomość problemów politycznych; Thiers mógłby jeszcze kazać się wybrać tym obrońcom ustalonego porządku.

Ogromna mniejszość dyskutuje jednak. Dość szybko rozprawiają się z zagadnieniem „polityki" w strajkach. Nowa trudność: czy gra warta jest świeczki? Troska o skuteczność wyjaławia wielu ludzi dobrej woli i, aby w przyszłym cywilnym życiu zapewnić sobie swobodę działania, paru zdecydowało się, jak się zdaje, nie solidaryzować się obecnie z klasą robotniczą. Do nich dołączają się ci, których posiadanie narzeczonej lub stanowiska w administracji publicznej unieruchamia w błogim oczekiwaniu wolności.

Pozostają ci, którzy zdecydowani są odmówić. Wśród nich spora ilość chrześcijan. Jak się wydaje dawanie „świadectwa" posiada w ich oczach urok dawnych ofiarnych poświęceń i w ten sposób myślą oni przeciwstawić się tajnemu porozumieniu między Kościołem a Władzą, porozumieniu, które tu jest bardziej widoczne niż w życiu cywilnym. Wielu oficerów bowiem chodzi w niedzielę na mszę i w odpowiednich wypadkach apeluje do sumień swych wychowanków.

Czy trzeba będzie „stawić opór" natychmiast, czy dopiero po otrzymaniu rozkazu wymarszu? Dla niektórych jest to jedynie zagadnienie taktyki.

Obóz w T. 20 listopada.

LEŻĄC w łóżku widzę poprzez szyby baraku niebo; możliwe, że tej nocy ściśnie mróz, jutro rano ziemia stwardnieje, a las nabierze szaroniebieskich odcieni; napchany piec buzuje. Słyszę niewyraźne głosy kolegów prowadzących swe wieczne sprzeczki.

C., najspokojniejszy chłopiec z baraku, którego znałem cichym, skromnym i czerwieniącym się, wyrzuca nagle z siebie grad sprośności, po czym wybucha obleśnym śmiechem; jego wielkie, jasne, chłopięce oczy stają się szelmowskie i cwane, biedak nie ma mimo to w sobie nic z „twardego chłopa".

Zanim przedzierzgnął się w wojaka, był czeladnikiem w wytwórni wyrobów ołowianych, onieśmielony przez majstra, zapewne zbyt podporządkowany matce, uprzejmy, rozgarnięty, trochę przygaszony, przy tym o dojrzałej już, wrodzonej subtelności.

Wojsko zmienia w nim wszystko: kiedy otrzyma następny urlop, będzie walił buciorami z miną zwycięzcy, zacznie od nalania sobie wielkiego kielicha czerwonego wina, bynajmniej nie dla zaspokojenia pragnienia, odpowiednim tonem powie „kurwa mać", zanim zacznie cokolwiek mówić. Matka wpatrywać się będzie w niego zlekka przerażona, ojciec sucho nakaże mu panować nad językiem, nie mówić jak „woźnica", nie mniej w duchu będzie dumny patrząc, jak syn „mężnieje", dumny do tego stopnia, że po posiłku wsunie mu parę banknotów, by mógł zapłacić dziewczynce, zalecając wszelako synowi, by nie lekceważył koniecznych ostrożności.

Nie powinniśmy wybaczyć wojsku tego, że pyskatą miernotę i pogardę kobiety czyni cnotą.

Nikt nie zdaje sobie sprawy, że osławione „równanie w dół", którego według różnych durniów pragną komuniści, realizowane jest najpełniej przez służbę wojskową. Jest to szkoła człowieka.

(Dokończenie w numerze następnym)

Kilka słów o:

muzyce

„HALKA" W OPERZE BERLIŃSKIEJ

Berlińska Opera Państwowa przygotowuje wystawienie opery Moniuszki „Halka" Przy opracowaniu opery współpracują polscy artyści, którzy przybyli na specjalne zaproszenie Akademii Sztuk NRD. W skład grupy polskich artystów wchodzą: reżyser Leon Schiller, dyrygent Zdzisław Gorzyński, scenograf Jan Kosiński i baletmistrz Eugeniusz Papliński. Akademia sztuk NRD wystosowała do artystów polskich pismo z serdecznym podziękowaniem za współpracę i pomoc w opracowaniu „Halki", która jak głosi pismo — w nowej inscenizacji wzbogaci stały repertuar niemieckich scen operowych. Pismo podpisali m.in. pisarze Bertold Brecht i Friederich Wolf, reżyserzy Walter Falsenstein i Wolfgang Langhoff oraz znakomita artystka dramatyczna Helena Weigel.

JUBILEUSZ PROF. JARZĘBSKIEGO

Wybitny skrzypek i pedagog prof. Józef Jarzębski obchodził jubileusz 50-lecia pracy artystycznej i pedagogicznej. Protektorat nad Jubileuszem objął minister kultury i sztuki W. Sokorski. W czasie swej wieloletniej pracy pedagogicznej jako profesor Konserwatorium Warszawskiego Józef Jarzębski wykształcił kilka pokoleń skrzypków; uczniami jego są m. in.: Eugenia Umińska, Grażyna Bacewiczówna, Tadeusz Wroński. W czasie koncertu jubileuszowego, który odbył się na piątkowym koncercie Filharmonii Warszawskiej, wystąpili uczniowie Jubilata M. in. syn Jubilata Stanisław Jarzębski wykonał po raz pierwszy w Warszawie Koncert na tematy góralskie Maklakiewicza, a Eugenia Umińska I Koncert Skrzypcowy Szymanowskiego.

JAPOŃSKI BALET HIROSHIMA

Dwie siostry, które przeżyły bombardowanie atomowe Hiroshimy ułożyły balet, którego treścią są tragiczne skutki rzucenia bomby na nieszczęsne miasto. Autorki baletu zebrały kilkanaścioro dzieci z gruzów Hiroshimy, które razem z nimi biorą udział w realistycznym przedstawieniu.

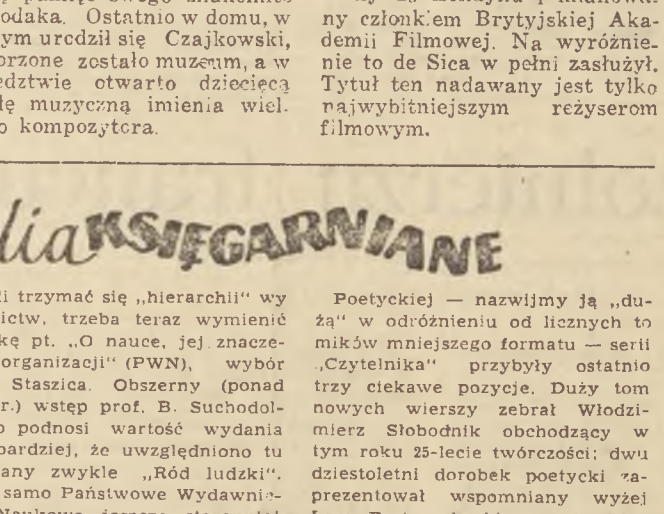

„BORYS GODUNOW" W PARYŻU

Opera francuska przygotowuje się do wystawienia w kwietniu wielkiego dzieła Mussorgskiego, w reżyserii Vanni Marcoux. Trzydzieści lat temu V. Marcoux przetłumaczył i przygotował do wystawienia we Francji słynną operę rosyjskiego kompozytora. Obecnie z wielkim nakładem pracy odbywają się próby i przygotowania przede wszystkim wielkich partii chóralnych opery.

MUZEUM CZAJKOWSKIEGO W RODZINNYM MIEŚCIE KOMPOZYTORA

Miasto Wotkinsk jest miastem rodzinnym P. I. Czajkowskiego. Mieszkańcy Wotkinska czczą pamięć swego znakomitego rodaka. Ostatnio w domu, w którym urodził się Czajkowski, otworzone zostało muzeum, a w sąsiedztwie otwarto dziecięcą szkołę muzyczną imienia wielkiego kompozytora.

filmie

NOWA RADZIECKA PUBLIKACJA FILMOWA

Państwowe Wydawnictwo Literatury Filmowej ZSRR wydało książkę pt. „Sztuka filmowa krajów demokracji ludowej". Jest to zbiór artykułów wybitnych radzieckich filmowców — M. Cziaurelego, G. Aleksandrowa, S. Gerasimowa i in. o rozwoju sztuki filmowej w Chinach, Polsce, Czechosłowacji, na Węgrzech, w Bułgarii, Rumunii, Albanii, Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej i NRD. W książce autorzy podkreślili, że filmy nakręcone ostatnio w krajach demokracji ludowej cieszą się dużym powodzeniem i uznaniem w Związku Radzieckim.

DE SICA CZŁONKIEM BRYTYJSKIEJ AKADEMII FILMOWEJ

Ostatnio w Anglii odbyła się premiera nowego filmu Vittorio de Sica pt. „Cud w Mediolanie". W związku z tym ten doskonały reżyser został zaproszony do Londynu i mianowany członkiem Brytyjskiej Akademii Filmowej. Na wyróżnienie to de Sica w pełni zasłużył. Tytuł ten nadawany jest tylko najwybitniejszym reżyserom filmowym.

60-A ROCZNICA URODZIN W. PUDOWKINA

Ostatnio Prezydium Rady Najwyższej ZSRR odznaczyło Orderem Czerwonego Sztandaru Pracy znakomitego reżysera filmowego, laureata Nagrody Stalinowskiej, artystę ludowego ZSRR Pudowkina, w związku z 60-leciem jego urodzin.

W. Pudowkin poświęcił 30 lat twórczej pracy radzieckiej sztuce filmowej. Pudowkin jest twórcą takich filmów o sławie światowej, jak „Matka", „Burza nad Azją", „Suwerow", „Admirał Nachimow", „Żukowski". Obecnie świetny reżyser pracuje nad adaptacją filmową znanej powieści H. Mikołajewej „Żniwa".

RENE CLAIR NAGRODZONY

Wielką Nagrodę Filmu Francuskiego, której inicjatorem był kiedyś pionier francuskiej kinematografii Lumière, przyznano w tym roku znanemu reżyserowi René Clair za jego ostatni film „Piękności nocy".

teatrze

100-LECIE RUMUŃSKIEGO TEATRU

Ostatnio odbył się uroczysty obchód setnej rocznicy założenia Wielkiego Teatru Narodowego im. Caragialego w Bukareszcie. W Teatrze odbyła się Akademia z udziałem całego zespołu tego teatru oraz przedstawicieli mas pracujących Rumunii. W zakładzie językoznawstwa, literatury i sztuki Rumuńskiej Akademii Nauk odbyła się również uroczystość poświęcona temu wydarzeniu kulturalnemu kraju. Prezydium Wielkiego Zgromadzenia Narodowego odznaczyło tytułami honorowymi i nagrodami wielu artystów i pracowników technicznych teatru.

WINTERSCHLACHT BECHERA W PRADZE

Najciekawszy ze współczesnych reżyserów czeskich, twórca odrębnego, eksperymentalnego stylu w teatrze, E. F. Burian, dzieli się z czytelnikami miesięcznika „Aufbau" uwagami na temat swych trosk i radości związanych z inscenizacją nowej sztuki Johannesa Bechera: „Bitwa zimowa".

Utwór ten ma za temat obronę Moskwy przed atakiem wojsk Hitlera; wystawienie go na wielkiej scenie teatru Buriana napotkało na omal nieprzezwyciężone trudności. Burian wyszedł im jednak śmiało na przeciw i stworzył wizję sceniczną, w której monumentalna prostota podkreśla dramatyczną ruchliwość zdarzeń.

wszystkim

BRITISH MUSEUM LICZY JUŻ 200 LAT

W roku bieżącym mija 200 lat od powstania British Museum. Zostało ono założone przez sławnego londyńskiego lekarza Hansa Sloane, który zmarł w 1753 r. i testamentem swym zapoczątkował tę słynną instytucję.

W związku z rocznicą urządzono obecnie w Muzeum Brytyjskim wielką wystawę starych rękopisów i druków. Pokazano więc między innymi pięknie iluminowany pergamin „Lindisfarne Gospels", dzieło biskupa Eadritha z 700 roku p. n. Chrystusa, zawierający tekst Ewangelii w języku łacińskim. Wystawiono także psałterz z 1150 r., list Elżbiety I oraz 35 innych, równie cennych manuskryptów.

Warszawa rośnie

DZIWNE to miasto, Warszawa pierwszych dziesiątków lat XIX wieku. Obywateli miasta, z radą miejską na czele, ogarnął jakiś szał burzenia starych ruder, przeszkadzających w rozroście stolicy, i budowania nowych budynków. Przypomniane zostały i wykorzystane założenia urbanistyczne wypracowane w epoce nieszczęśliwego króla Stasia.

Drugą, równie charakterystyczną cechą ówczesnej Warszawy, było jej powszechne, bez przesady, umuzykalnienie. Takie fakty: jak dwustu uczniów na pierwszym roku nowozałożonego konserwatorium, pięć w jednym roku napisanych i wystawionych oper wielce dla polskiej muzyki zasłużonego maestro Elsnera, stałe komplety na wszystkich koncertach, mimo wysokich cen biletów — stawiały miasto młodego Chopina w rzędzie najmuzykalniejszych miast Europy: Wiednia, Paryża, Lipska i Drezna.

Ponieważ brak było w Warszawie sal koncertowych, stało się konieczne wybudowanie gmachu opery i teatru. W latach 1821-23 znalazło to swój wyraz w projektach przebudowy istniejącego na pl. Krasińskich Teatru Narodowego (między innymi tworzył również swe projekty 25-letni wówczas Adam Idzikowski) wreszcie zakwalifikowano do realizacji projekt budowy nowego monumentalnego gmachu, przedłożony w 1824 r. przez budowniczego Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych A. Corazzi'ego.

Nowy teatr mieścić się miał na terenie posesji Marywil i Pociejów. Marywil, to do chwili spalenia w 1655 r. podczas najazdu szwedzkiego, drewniane magazyny żup solnych. Zupełnie zniszczony teren kupiła później Maria Kazimiera i wybudowała wielki pięciokątny gmach mieszczący, według zapisów współczesnych, w swoim podwórzu z arkadami 54 sklepy, zajazdy, hale targowe. W 1742 r. odkupiły go od rodziny Sobieskich siostry Kanoniczki, a od nich w 1819 r. miasto.

Ponieważ na sąsiedniej posesji, Pociejowie istniał niedawno wg projektu Aignera wybudowany dom, Corazzi wykorzystał go jako lewe skrzydło przyszłego teatru, stworzył identyczne prawe skrzydło, a całość złączył częścią centralną z ozdobnym perystylem. Pierwotny projekt przewidywał 3000 miejsc, jednak ze względów oszczędnościowych zmniejszono tę liczbę do ok. 1300. Przebudowywano jeszcze później parokrotnie wnętrze, nie zmieniając jednak szczęśliwie architektury zewnętrznej.

Po zniszczeniu w 1939 r. i 1944 r., pierwsze zostało odbudowane w 1949 r. wg. projektu prof. R. Gutta prawe skrzydło mieszczące Teatr Narodowy Domu Wojska Polskiego. W roku 1950 po stworzeniu Przedsiębiorstwa Państwowego „Teatr Wielki Opery i Baletu" zaczęto prace zabezpieczeniowe i odbudowę lewego skrzydła gmachu, a prezydium N.R.O.W. ogłosiło konkurs na projekt odbudowy i rozbudowy całego budynku.

Spośród 6 projektów przodujących pracowni architektonicznych Sąd Konkursowy wybrał do realizacji pracę prof. inż. arch. Bohdana Pniewskiego, laureata Nagrody Państwowej 1-go stopnia w r. 1952.

Projekt prof. Pniewskiego nawiązuje do zachowanej elewacji Corazziego. Kompleks gmachów o kubaturze ok. 455.000 m³ (drugi co do wielkości po Pałacu Kultury i Nauki gmach w Warszawie!) tworzy zharmonizowaną bryłę zamkniętą od strony pl. Zwycięstwa utrzymanym w klasycznym stylu frontonem z kolumnami. Wnętrze utrzymane będzie w stylu epoki stanisławowskiej.

Makieta południowej elewacji Teatru Wielkiego wg. projektu inż. B. Pniewskiego *fot. inż. A. Funkiewicz*

Prócz sceny głównej z widownią liczącą ok. 1700 miejsc oraz istniejącej sceny Teatru Narodowego, pod dachem Opery będą się mieścić jeszcze dwie mniejsze sceny: kameralna Teatru Narodowego z widownią na ok. 300 miejsc i scena próbna Opery i Studia Operowego. W kompleksie znajdzie też pomieszczenie Szkoła Baletowa i Muzeum Teatralne oraz liczne lokale użyteczności publicznej rozmieszczone na parterze.

W roku 1953 przewidziane jest wybudowanie części gmachu od strony pl. Zwycięstwa i fundamentów całości objektu.

(Zb)

Aktualia KSIĘGARNIANE

Ciągle za mało utyskiwań o trochę bałaganu przy kolportażu książek! Wiemy na przykład, że niecierpliwie oczekiwany w księgarniach drugi tom „Don Kichota" dawno już jest wydrukowany *) (jeszcze w listopadzie Biblioteka Narodowa otrzymała egzemplarz obowiązkowy, czekała za to długo na tom pierwszy), że wiele książek zapowiedzianych na grudzień — bez wątpienia ukończonych zgodnie z planem wydawniczym — nie dotarło jeszcze do czytelników.. W tej sytuacji — na druki zwarte, sygnowane datą roku bieżącego, będzie zapewne trzeba wyczekiwać dobre kilka tygodni; sporadycznie pojawiły się już one co prawda: pierwsza taka książka, którą udało mi się spotkać nie bez przyjemności, to „Rozbitki" Józefa Blizińskiego (wyd. Biblioteka Narodowa, oprac. Janina Garbaczewska). — Odruch pedanterii — sprawdzanie dat edytorskich — trwa jednak zaledwie chwilę. Najważniejsze przecież jest to, że „półka nowości" — wciąż pełna. Przejrzyjmy!

Zwracają najpierw uwagę cztery nowe tomy Narodowego Wydania Dzieł Mickiewicza: odbite techniką offsetową trzy (V, VI, VII) tomy pism proza (dlaczego raz jeszcze nie wznowiono bardzo potrzebnej chyba serii pierwszej, I-IV?) oraz pierwszy druk tomu X, który zawiera drugi kurs (r. 1841/42) „Literatury Słowiańskiej". Wykłady poety w Collège de France przetłumaczył i opracował Leon Płoszewski. — Prawie równocześnie ukazało się piąte wydanie „Mickiewicza" Mieczysława Jastruna.

Jeśli trzymać się „hierarchii" wydawnictw, trzeba teraz wymienić książkę pt. „O nauce, jej znaczeniu i organizacji" (PWN), wybór pism Staszica. Obszerny (ponad 100 str.) wstęp prof. B. Suchodolskiego podnosi wartość wydania tym bardziej, że uwzględniono tu pomijany zwykle „Ród ludzki". — To samo Państwowe Wydawnictwo Naukowe jeszcze staranniej zadbało o „Wybór pism naukowych i publicystycznych" Jędrzeja Śniadeckiego. Opracowujący książkę Bolesław Skarżyński nie poprzestał na wstępie, przypisach i podaniu zasad edytorskich, ale również — oby się ten zwyczaj upowszechnił przy wszystkich poważniejszych wydaniach! — zestawił bibliografię dzieł autora „Teoryi jestestw organicznych".

Ale czas już najwyższy zerknąć ku autorom współczesnym. Zobaczymy nową książkę Aleksandra Jackiewicza pt. „Wiedeńska wiosna", Tadeusza Łopalewskiego powieść o powstaniu styczniowym — „Sprawiedliwych", znaną dotychczas tylko z odcinków gazetowych „Komunę miasta Łomży" Leona Pasternaka, Franciszka Fenikowskiego „Pierścień z łabędziem" — opowieść osnutą na legendzie o Janie z Kolna, debiut powieściowy młodego poety — Andrzeja Brauna — pt. „Lewanty", wreszcie — dwie książki Morcinka: „Urodzaj ludzi" i „Zabłąkane ptaki" Zobaczymy i wznowienia, ucieszy nas zwłaszcza „Pamiątka z celulozy" Neverly'ego, a nowych wydań doczekały się także dwie inne jego rzeczy: „Chłopiec z Salskich stepów", oraz „Archipelag ludzi odzyskanych".

Poetyckiej — nazwijmy ją „dużą" w odróżnieniu od licznych tomików mniejszego formatu — serii „Czytelnika" przybyły ostatnio trzy ciekawe pozycje. Duży tom nowych wierszy zebrał Włodzimierz Słobodnik obchodzący w tym roku 25-lecie twórczości; dwudziestoletni dorobek poetycki zaprezentował wspomniany wyżej Leon Pasternak zbiorem pt. „Lira i satyra"; najnowszy wybór wierszy należy do Mariana Piechala, poety, który w latach trzydziestych — zwłaszcza „Elegiami całopalnymi" i „Garścią popiołu" — zdobył sobie spory rozgłos.

Nie chcę powstrzymać się od małej choćby wzmianki o ukazaniu się książkowego wydania sztuki L. H. Morstina — „Polacy nie gęsi". Jak to dobrze, iż teksty utworów przeznaczonych dla sceny drukuje się teraz — niezależnie od częstego publikowania ich w „Twórczości" — równocześnie z realizacja teatralna.

I jeszcze kilka słów o dwu książkach, których — wydaje mi się — pominąć tu nie należy. Myślę o interesujących „Szkicach filmowych" Jerzego Płażewskiego, poświęconych — między innymi — zagadnieniom warsztatu pisarza filmowego, zasadom realizacji filmów i krytyki filmowej. — Druga zapowiedziana notatka informacyjna dotyczy wyjścia drukiem zbioru przepisów o prawie autorskim (hasło tytułowe: „Prawo autorskie") według stanu na dzień 1 grudnia 1952 r.

*) W chwili łamania numeru — pretensja formalnie upada: drugi tom dzieła Cervantesa jest już w sprzedaży. Ale — mimo wszystko — „już", czy raczej: „dopiero"?

Redaguje zespół.
Prenumerata miesięczna 1.80 zł Kwartalnie 5.40 zł
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. tel. 880 71 8x0 26
Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
Drukarnia Akcydensowa Warszawa Tamka 4 Zam. 562/C 4-B-11461